107 NARÓD SOBIE! 107

Król dziadów.

Utwor sceniczny w 6 obrazach ze śpiewami i tańcami.

Pomysł wzięty z pow.: J. Dzierzkowskiego.

Napisał

Franciszek Domnik.

Muzyka Adama Wrońskiego, dyrektora orkiestry krakowskiej.

Nakładem księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.
Warszawa: E. Wende & Sp. — New York: The Polish Book Importing Co. Inc. — Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego. 1919.

107 NARÓD SOBIE! 107

Król dziadów.

Utwór sceniczny w 6 obrazach
ze śpiewami i tańcami.

Pomysł wzięty z pow.: J. Dzierzkowskiego.

Napisał
Franciszek Domnik.

Muzyka Adama Wrońskiego,
dyrektora orkiestry krakowskiej.

Nakładem księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.
Warszawa: E. Wende & Sp. — New York: The Polish Book Importing Co. Inc. — Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego. 1919.

Obraz I.

Dwór w Wyżyńcach.

OSOBY:

IGNACY WYŻYŃSKI, dziedzic.
ZOFJA, jego żona.
EUGENIUSZ, jego syn.
MAJOR, jego brat.
SEMEN, żebrak.
SZMUL, pachciarz.
MARCIN, służący.
PRAKSEDA, MOTRUNA, KRYSTA, REGINA — wieśniaczki.
SYDOR, MICHAŁ, PIOTR — wieśniacy.
Chłopcy, dziewczęta.

Nr. 1. Muzyka — Wstęp. Antrakt.

SCENA I.

(Wolna okolica. Po lewej (od widzów) dwór, do którego wchodzi się po stopniach. Po prawej zabudowania. W głębi wzdłuż sztachety, w środku brama, za sztachetami szereg topól. Na przodzie sceny z lewej stolik i krzesła, dalej altanka. Za podniesieniem zasłony dziewczęta i chłopcy stoją dokoła, trzymając w ręku narzędzia rolnicze. W środku Marcin, nalewa wódkę do czarki i częstuje wszystkich.)

Marcin — Michał — Prakseda — Chłopcy i Dziewczęta.

Śpiew nr. 2. — Chór.

Już promieniste słońce
Rozlewa światła zdrój
Na wszystkie świata końce
I pszczółek brzęczy rój. [bis]
Listkami drzewa okryte,
Trawka zaściela błoń,
Lilije — róże okwite
Mile roznoszą woń. [bis]
Kto cały dzionek pracuje,
Bóg błogosławi mu,
Ten cierpień duszy nie czuje,
Błogo używa snu. [bis]
Leci skowronek w niebiosy,
Piosenką wita nas,
Zabierzmy grabie i kosy,
Czas do roboty, czas. [bis]

Marcin (po śpiewie).

Niech was tam siarczyste!... napijmy się jeszcze po jednym. (pije i nalewa)

Prakseda.

Dziękuje, ja juz pić nie będę.

Marcin.

No, boś głupia!

Dziewczęta.

My takze nie!

Marcin.

No, toście wszystkie głupie! Chłopacy od was mądrzejsi i nie pogardzą kieliszkiem.

Chłopcy.

Juścić że nie.

Michał.

Czeka nas dzisiaj ciężka robota w polu! nie zawadzi pokrzepić się gorzałką.

Marcin.

Widzę, że macie rozum do stu tysięcy karabinów! (częstuje ich)

Michał.

Dziedzic idzie!

Marcin.

No, a teraz w pole, ciemięgi! w lewo zwrot! marsz! Do stu tysięcy wyszczerbionych pałaszy!

(Chłopcy dziewczęta odchodzą w głąb, a potem na lewo, Marcin idzie za nimi.)

Chór (odchodząc powtarza nr. 2).

Kto cały dzionek pracuje,
Bóg błogosławi mu,
Ten cierpień duszy nie czuje,
Błogo używa snu. [bis]

(Chór milknie w oddali.)

SCENA II.

Ignacy — (później) *Marcin.*

Ignacy (wchodzi z dworu — niespokojny — przebiega żywo parę razy scenę).

Hm.. hm.. źle! źle! co to dalej będzie? znikąd pieniędzy! napróżno suszę sobie głowę, nie mogę z niej wydusić żadnego konceptu. Wszystko, co tylko można było, już zużytkowałem, a teraz co? ruina! fatalna ruina! A jednak ja muszę wykręcić skąd nieco grosza na życie, jeżeli już nie tak wykwintne jak dawniej, to przynajmniej wystawne na oko. Bo przecież Wyżyński Wyżyńskim! pan panem i basta!

Marcin (za sceną).

Precz mi stąd, szachraju! oszuście! bo cię zapoznam z mojemi pięściami!

Ignacy (woła).

Marcinie! Marcinie!

Marcin (wchodzi głębią z lewej zaperzony, mrucząc pod nosem).

Słucham, jaśnie panie!

Ignacy.

Co tam wyrabiasz za hałasy!

Marcin.

Melduję jaśnie panie — to, z przeproszeniem, żyd niewiara gwałtem się tu ciśnie, a ja żydów nie cierpię jak morowej zarazy.

Ignacy.

Cymbał z waszeci.

Marcin.

Słucham, jaśnie panie!

SCENA III.

Ignacy — Szmul (wchodzi głębią i staje w bramie).

Ignacy.

Cóż to za jeden?

Marcin.

Ano ten szachraj z Niżyniec, Szmul.

Ignacy (żywo).

Co?! Szmul! zawołaj go natychmiast!

Marcin (odwraca się i spostrzega Szmula).

A ot! przylazło już nieszczęście!

Szmul.

Klaniom jaśnie panu!

Ignacy.

Jesteś nareszcie — czekałem na ciebie z niecierpliwością! Odejdź, Marcinie!

Marcin (zwraca się do dworu i przechodząc koło Szmula, mówi mu z tłumioną złością).

Do kroć sto tysięcy... (odchodzi)

Ignacy (żywo).

I cóż, byłeś u tego błazna Wilcewicza?

Szmul.

Nu, niech on sobie będzie błazen, ale ma grube pieniądze i pozica.

Ignacy (jak wyżej).

Pożycza? mówiłeś z nim? i jakże?

S z m u l.

Nic z tego nie będzie.

I g n a c y.

Nic?

S z m u l.

Wun pozica tylko na pewną hipotekę.

I g n a c y.

Hipotekę? alboż ja jej nie mam?

S z m u l.

Nu, co jasny pan ma, to Szmul wie o tem najlepiej.

I g n a c y.

A inni? nie próbowałeś u innych?

S z m u l.

Nu, a gdzie te inni? One wszystkie są tu u mnie. (uderza się po kieszeni)

I g n a c y.

A Gliniecki?

S z m u l.

A to fajn puryc! ten ma głów taki wielki jak wół.

I g n a c y.

Proponowałeś mu? i cóż?

Szmul.

Odmówił.

Ignacy.

Co tu robić? Co robić? ja koniecznie potrzebuję! (zatrzymuje się) A ty, ty nie możesz pożyczyć?

Szmul.

Jasny pan żartuje! ja u jasny pan mam jeszcze pięć tysiąców z kontraktu na wódkę, to ja jasnemu panu coś powiem: ja te pięć tysiąców oddam za dwa, ale pieniądze zaraz.

Ignacy.

Zwarjowałeś czy co? wiesz, że grosza nie mam w domu! Gdybyś tylko, panie Szmul, chciał mi dopomódz. Ja przecież tak żyć nie mogę jak ten obrzydły kutwa Wicewicz?

Szmul.

A dlaczegi nie?

Ignacy (z dumą).

Bo ja jestem Wyżyński!

Szmul.

Nu, a ja Szmul Feigele! a żyje przecież skromnie.

Ignacy.

Więc niema już zgoła wybawienia?

Szmul (dyplomatycznie).

Ja tego nie mówię...

Ignacy.

Jakto? jest! jest jakie?

Szmul.

Znam takiego, co ma grube pieniądze, same złoto i srybło! U niego możnaby dostać 20! do 30! tysiąców! Ale to człek prosty i do niego trzeba samemu pojechać.

Ignacy (z radością).

Ale i owszem pojadę! choćby na koniec świata!

Szmul.

Nu, tak daleko nie potrzeba — jasny pan zna Hoszów?

Ignacy (zmieszany).

Ho...szów? — a któż tam jest?

Szmul.

Król dziadów.

Ignacy (gwałtownie).

Co? co mówisz?

Szmul.

Jasnemu panu co się stało? Czemu pan tak pobladł? Jaśnie pan go zna?

Ignacy (jak wyżej).

Ja jego! Ty śmiesz mnie pytać o to?

Szmul.

No co jest? przecież to nic złego — niech się pan uspokoi — ja jeszcze nie skończył. Ja wiem, co jasnemu panu byłoby niemiło prosić takiego dziada, bo choć on król, ale zawsze dziad. Jabym wiedział i inny sposób, ale na to potrzeba odwagi!

Ignacy.

Odwagi? nie rozumiem.

Szmul.

Ja raz mówiłem jasnemu panu, co on ma zakopane pieniądze, ale nie wiedziałem gdzie — teraz... (tajemniczo) wiem...

Ignacy.

Wiesz? — to odkopiesz?

Szmul.

Kiedy ja szie boje, bo to straszne miejsce.

Ignacy (śmiejąc się).

Straszne miejsce?

Szmul.

Pasieka!

Ignacy (zmieszany).

Pasieka?

Szmul.

Ludzie mówią, co tam jakiś wielgi pan miał zamek i jemu stamtąd żywcem djabli porwali! A do tego ten król dziadów to straszny człowiek! On wie o wszystkiem, co szie dzieje na świecie!

Ignacy.

Głupiś! bajki i nic więcej!

Szmul.

Niech sobie będą bajki, ale ja szie boje. (tajemniczo) Prosze jasnego pana, żeby tak z kim drugim. Ja sobie tak myszlał, gdyby szie znalazł kto taki, co gwałtem potrzebuje pieniędzy... to... to moglibyśmy tak razem iść w nocy... uważa jasny pan?...

Ignacy.

Cóż dalej?

Szmul.

I podzielić szie.

Ignacy.

Z kim?

Szmul.

Nu jasny pan mówił, co tak bardzo potrzebuje pieniędzy.

Ignacy (zrywając się).

Słuchajno, żydzie! przypominam ci, że ja mam Marcina, który cię może za uszy wyprowadzić z mojego domu, a ma do tego djabelną ochotę!

Szmul.

Jakto? jasny pan nie chce?

Ignacy (jak wyżej).

A tego zanadto!

Szmul (żywo).

Jaśnie panie, tam musi być z jakich kilkakroć...

Ignacy.

Precz! pókiś cały! bo nie ręczę za siebie! Precz! — mówię!

Szmul.

Ale... jaśnie panie...

Ignacy (woła).

Marcinie!

Szmul (szybko).

Kłaniam jaśnie panu! (ucieka głębią)

SCENA IV.

Ignacy (sam — później) *Major*.

Ignacy (siedzi chwilę zamyślony).

A jednak, jeśli nie znajdę innego wyjścia, mamże zostać żebrakiem? pośmiewiskiem ludzi? ja? Wyżyński? O nie! do tego nigdy nie przyjdzie, chociażbym miał posunąć się do najgorszego. Wszystko raczej byle nie ubóstwo! (zamyśla się) Wolałbym jednak cudem jakim uniknąć tej strasznej ostateczności, ale jak?... jak? Gdyby ożenić bogato Eugeniusza? Gliniecki ma dwie córki. Choć to łajdak! do majątku przyszedł krętemi drogami, — ale tonący brzytwy się chwyta! Posag będzie znaczny, coś około dwukroć! tylko czy Eugeniusz znów... (namyśla się)

Major (wchodzi z głębi).

Dzień dobry ci, panie Ignacy.

Ignacy.

Dzień dobry, kochany bracie.

Major.

Widziałem Szmula — że też, panie bracie, nie możesz obejść się bez tego

łapserdaka. — Ależ on cię obdziera bez litości!

Ignacy (z uśmiechem).

Z czego, kiedy nic nie mam?

Major.

To pocóż się tu kręci? Niezawodnie namawiał cię na jakie nowe szachrajstwa.

Ignacy.

Szachrajstwa? nowe? zanadto się posuwasz!

Major.

Do kroćset! ja posuwam się za nadto? Alboż nie jestem twoim starszym bratem? nie mam obowiązku dbać o honor nazwiska, które wspólnie nosimy? Szachrujecie z tym szelmą Szmulem i łapiecie poczciwców na pożyczki, bez nadziei oddania kiedykolwiek!

Ignacy.

Sądzę, że wolno mi w swoim własnym majątku...

Major (zrywa się).

Własnym?! własnym? za krótką masz pamięć, panie Ignacy. Nie lubię mówić o tem, co się już stało i nie powróci, ale

kiedy mnie zmuszasz, przypominam ci, że jestem starszym bratem, że zatem mam nietylko równe, ale nawet większe prawo do majątku aniżeli ty! Tymczasem grosza jednego z ojcowizny nie dostałem, z pięknego niegdyś majątku zastałem ruinę! Od kilkunastu lat mieszkamy wspólnie, a jednak ani razu nie zapytałem się o swoją własność, nie zażądałem rachunków.

Ignacy.

Kochany, wiem, że twoje serce...

Major.

O, proszę cię, zamilcz o tem! o sercu między nami mowy być nie może! — Wiesz dlaczego nie upominałem się o swoje po moim powrocie — to wówczas... (z wzruszeniem) ty się żenić miałeś — poznałem tego anioła — dzisiaj żonę twoją i przyrzekłem ci nie żądać ani grosza z mojej połowy, byleby Zofja była szczęśliwą!

Ignacy.

Wszak wiesz, że robiłem wszystko, co mogłem.

Major.

Ażeby stracić majątek! O wiem! I wyrzucam sobie, że się nie upomniałem o swoje,

bo dziś moja połowa wybawiłaby od nędzy twoją żonę i syna — a tak w razie twojej śmierci mogą pójść oboje pod płot!

Ignacy (złośliwie).

O to jestem spokojny — wiem, że w razie mojej śmierci — Zosia miałaby w tobie najczulszego opiekuna.

Major.

Milcz! do milijonset djabłów! Rozumiem twoje przymówki; chcesz skrzywdzić żonę i brata! (łagodnie) Prawda, kocham ją, jak na to zasługuje — i źle zrobiłem, że poznawszy, odstąpiłem ją tobie — sądząc, żem dla niej za stary i że ty kochasz ją prawdziwą miłością, (z pogardą) a tymczasem tyś kochał jej posag!

Ignacy (z intencyą).

A pan brat?

Major.

Dość tego! Dzisiaj proszę cię, panie Ignacy, abyś się opamiętał i ocalił, co jeszcze można ocalić.

Ignacy.

Ależ — nie jest jeszcze tak źle, jak sobie wyobrażasz — mam nadzieję...

Major (żywo).

Okpić, okraść kogo — przy pomocy Szmula! Ależ do stu kartaczy! toć lepiej już umrzeć z głodu niż ocalać się ze szwankiem godności i honoru.

Ignacy (spokojnie).

Rzecz gustu.

Major.

Sprzedaj wszystko — możemy żyć skromnie ale uczciwie.

Ignacy (jak wyżej).

Gdzieś tam na bruku... nigdy.

Major.

Ciszej! żona twoja nadchodzi.

SCENA V.

Major — Ignacy — Zofja (z lewej).

Major (idzie żywo ku Zofii i całuje ją w rękę).

Dzień dobry.

Ignacy (na stronie).

Kochają się — to pewna — tem lepiej dla mnie! (głośno do Zofii) Przechadzałaś się po parku, moja duszko?

Zofia.

Cokolwiek. Właśnie przyniesiono mi list.

Ignacy.

List? — Od kogo?

Zofja.

Od pani Krajkowskiej z Niżyniec — zapraszają nas na zabawę tańcującą.

Ignacy.

Za wiele śmiałości jak na żonę plenipotenta.

Zofja.

Henryka jest krewną...

Ignacy.

Twoją, moja droga...

Major (żywo).

A więc i naszą do kroćset!

Ignacy.

Niechże i tak będzie, ale spodziewam się, żeś odmówiła?

Zofja.

Mój Boże, Henryce byłoby tak przyjemnie — dowiedziała się, że Eugenjusz przyjechał i chciałaby go poznać.

Ignacy.

A może złapać na męża, dla której ze swoich pięciu córek.

Major.

Et, pleciesz panie Ignacy. — Dla Eugenjusza byłoby to z korzyścią, gdyby się cokolwiek rozerwał. — Chłopak widocznie nudzi się piekielnie. Chodzi ze spuszczoną głową i z rozmarzonemi oczami — oddaje się zanadto złudnym poetycznym marzeniom, niezawsze bezpiecznym w naszem życiu prozy — samotność dla niego najgorsza.

Zofja (niespokojnie).

Sądzisz...

Major.

Nic z tego, broń Boże, ale wolę, kiedy szaleje, skacze, sceny wyprawia, to przymiot jego wieku.

Zofja.

Widzisz więc, mężu...

Ignacy (niecierpliwie).

Proszę cię, nie pozwól długo czekać posłańcowi i odpisz grzecznie, ale odmownie...

Zofja.

Posłaniec natychmiast odjechał do Glinieckich.

Ignacy (żywo).

Do Glinieckich?

Zofja.

Z podobnem zaproszeniem dla niego i dla córek.

Ignacy.

Tak? a więc będą Glinieccy... no... to co innego.

SCENA VI.

Ignacy — Major — Zofja — Eugenjusz.

Eugenjusz (wchodzi — całuje poważnie ojca w rękę). Witam ojca! (całuje serdecznie matkę w rękę) kochaną mateczkę! — kochanego stryja! (obejmuje go za szyję)

Major.

Zmiłuj się, chłopcze, zadusisz mnie!

Zofja.

Gdzieżeś to uganiał tak długo? czekamy na ciebie, mój Geniu, musisz być głodny.

Eugenjusz.

Ależ nie, mateczko. Zasiedziałem się w ogrodzie — dopiero po śniadaniu wybieram się konno.

Zofia.

Ale herbatę wypijesz z nami, moje dziecko — zaraz każę podać.

Major.

Niech się pani bratowa nie fatyguje, to Marcin załatwi. (woła) Hej, Marcinie, Marcinie!

Marcin (wchodzi szybko i staje po wojskowemu).

Panie.

Major.

Każ nam tu podać herbatę.

(Marcin wykręca się na pięcie i odchodzi do dworu, po chwili służąca wnosi herbatę i przybory, Zofia nalewa i rozdaje.)

Ignacy.

Eugenjuszu, twoja matka pragnie, abyś odwiedził tych tam Krajkowskich w Niżyńcach, którzy zapraszają nas na balik czy imieniny...

Zofja.

Geniu, czy nie przypominasz sobie cioci Henryki?

Eugenjusz (wesoło).

Jakżeżby nie? — doskonale — i syna jej

Adasia — poczciwy chłopak — chodziliśmy razem do szkoły. A Bińcia? Lińcia? jakże się mają, wyrosły — nieprawdaż?

Zofia.

O! naturalnie!

Ignacy (niecierpliwie).

Mniejsza z tem, nie o to mi właściwie chodzi. — Wszak znasz Glinieckich? Posłuchaj — człowiek dobrze urodzony nie powinien zapominać o swych powinowatych, chociażby los postawił ich niżej od nas.

Eugenjusz.

Ależ, mój ojcze...

Ignacy.

Wiem ja, że ci to nie może być miłem, stosunki z tego rodzaju ludźmi są nieprzyjemne ale okoliczności...

Eugenjusz.

Mylisz się, mój ojcze, stosunki z uczciwymi ludźmi zawsze są dla mnie pożądane i nie pojmuję...

Ignacy (z niecierpliwością).

Mniejsza z tem, nie o to mi właściwie chodzi. — Wszak znasz Glinieckich?

Eugenjusz.

Słyszałem coś o tym ekonomie, który dobił się majątku, okradając swoich chlebodawców.

Ignacy (jak wyżej).

Mniejsza z tem. Co było, to przeszło, dziś jest bogaczem i lekceważyć go nie można, tem bardziej, że ma córki na wydaniu... zrozumiesz?...

Eugenjusz.

Dotąd nie...

Ignacy.

Toś bardzo niedomyślny — każda dostanie około dwóchkroć posagu — toby nas mogło ocalić od ruiny.

Eugenjusz.

Nie przypuszczam, aby ojciec miał zamiar kazać mi się żenić z córką Glinieckiego!

Ignacy.

A gdyby tak było w istocie?

Eugenjusz (z oburzeniem).

To niepodobna.

Ignacy.

Dlaczego?

Major.

Zapominasz, panie bracie, skąd powstał Gliniecki. Nie zechcesz przecie, aby Eugenjusz walał sobie ręce tak brudnem złotem.

Ignacy (spokojnie).

Ale zawsze złotem.

Eugenjusz.

Żądasz więc, mój ojcze, abym zaprzedał godność, honor i uczciwe imię?

Ignacy (żywo).

Wolisz zatem skazać nas wszystkich na nędzę? Cóż znaczy ten twój honor bez pieniędzy? pośmiewisko świata nic więcej. Imię samo, choćby najznaczniejsze bez majątku, to kula u nogi galernika! Tylko pieniądz! rozumiesz? tylko pieniądz może nas podnieść i dać stanowisko w świecie. — Nie będę dłużej ukrywał przed wami, że stoimy nad przepaścią! lada chwila burza może nam spaść na głowę... długi nasze!

Major (przerywając).

Twoje — chciałeś powiedzieć, panie Ignacy?...

Ignacy.

Mniejsza z tem — dość, że długi te przenoszą znacznie wartość dóbr i my, dziś, jutro, możemy znaleźć się bez dachu. Tu już nie czas bawić się w skrupuły! Pomoc, szybka pomoc jedynie zbawić nas może! Słuchaj, Eugenjuszu na zabawie w Niżyńcach będzie i Gliniecki z córkami; dobrzeby było, abyś wstąpił do nich po drodze, wybrawszy się wcześniej. Gliniecki rad cię przyjmie. Wiem napewno, że pragnie tego małżeństwa — chce, jak każdy dorobkiewicz, wejść w koligacye.

Eugenjusz.

Ależ to okropne, czego ojciec wymaga odemnie!

Ignacy.

Tylko nie przesadzaj — proszę! panny są dobrze wychowane, młode i piękne.

Zofja (całując Eugenjusza — wesoło).

Geniu, moje drogie dziecko, uspokój się, jesteś taki zmieniony.

Eugenjusz.

Spodziewam się, że ojciec nie każe mi tam jechać z oświadczynami?

Ignacy.

A — oczywiście — wprzód poznaj je bliżej, a może ci się która spodoba...

Eugenjusz.

Nigdy!

Major.

Ma się rozumieć, że nigdy.

Zofja.

Dajmy już dzisiaj pokój tej kwestji, zostawmy to na później.

Eugenjusz.

Masz słuszność, mateczko, nie warto się tem dłużej zajmować. Mówmy raczej o czem innem. Oto... na przykład... chciałem się was zapytać, kto jest ten sławny król dziadów? mieszkający w naszej okolicy. Czy nie wiesz, stryju, o nim bliższych szczegółów? Przez kilkanaście lat pobytu w szkołach odwykłem jakoś od tutajszych stosunków, a jednak te baśnie ludowe zajmują mnie bardzo.

Ignacy (z gniewem).

Dziwna i niepotrzebna ciekawość.

Eugenjusz.

O ile słyszałem, ma to być nie zwyczajny człowiek, z wielką, tajemniczą władzą, rozciągającą się na całą okolicę. Wyznam szczerze, że mnie to zaciekawia. Bądź co bądź, jest to zjawisko nadzwyczajne w naszych czasach.

Ignacy (jak wyżej).

Według mnie to szajka złodziei i włóczęgów! żandarmerja dawno już była powinna wdać się w tę sprawę.

Zofja:

Dzisiajszy król uchodzi za bardzo rozumnego człowieka, lud nasz szanuje go bardzo i przyznaje mu jakieś nadprzyrodzone przymioty.

Ignacy (niecierpliwie).

A, dajcież pokój z taką rozmową. Co nas takie indywiduum może obchodzić?

Major.

Naturalnie, sądzę, że to bajka, oparta jedynie na dawnych podaniach.

Eugenjusz.

Ale gdzież tam, stryju, on żyje tu od nas niedaleko. Co więcej nawet, miałem sposobność doświadczyć tej jego dziwnej i tajemniczej władzy.

Ignacy (jak wyżej).

Koniec końców, niema o czem gadać!

Marcin (wchodzi z dworu, salutując).

Melduję, panie dziedzicu, przyniesiono jakieś pismo do jaśnie pana.

Ignacy (żywo).

Pismo? do mnie? dawaj!

(Marcin oddaje pismo i wychodzi.)

Ignacy (rozwija; po cichu).

Od mego plenipotenta... (przebiega pismo oczami z wzrastającem przerażeniem). ...licytacja!... sekwestracja wszystkich ruchomości! co?... co! (czyta) Abram Bardach, na mocy zaprotestowanego weksla, wyrobił sobie areszt, na szanownej osobie JWPana! (mówi) areszt! na mojej osobie! (mnie list w ręku) ha... jestem przynaglony! niema już nic do wyboru... a więc... audaces fortuna juvat! (wychodzi)

Zofia.

O mój Boże! co to znaczy?! widziałeś, majorze, jaki był pomieszany?

Major.

Otrzymał widocznie nieprzyjemną wiadomość. Nic dziwnego, jak sobie posiał, tak będzie zbierał.

Zofja.

Ach! majorze, idź za nim, dowiedz się co to takiego być może, co nam grozi. Albo poczekaj, pójdziemy razem, jestem bardzo zaniepokojoną.

Major.

Niech się pani bratowa uspokoi, nic się jeszcze nie stało.

Zofja.

Niepewność częstokroć gorsza od rzeczywistości, chodźmy. (Major podaje rękę Zofji i wychodzą do dworu.)

Eugenjusz (sam przechodzi się zwolna po scenie i staje zamyślony). O, jakże prędko spadłem z wysokości moich marzeń, ledwie jaśniejszy promyk szczęścia zawitał do mojej

duszy, już go czarna chmura zaćmiła. Wyrzec się wszystkich pragnień, wszelkiej nadziei, przytłumić serce i poświęcić się dla pieniędzy, to ohydne. (po chwili) A biedna moja matka! — taka dobra, taka łagodna — na starość zostanie bez dachu? bez chleba? skazana na niedostatek a może i nędzę! Ach! głowa mi cięży! (siada na krześle, zwrócony twarzą na prawo) nie mogę zebrać myśli, nie spałem całą noc. (mówi coraz wolniej i ciszej) Obraz cudownej leśnej rusałki stał mi nieustannie przed oczami. Kto ona być może? raz jeno ją widziałem, a zajęła całą moją duszę i wszystkie myśli, i teraz o niej tylko marzę bezustannie! Jaka ona piękna! W białej sukience, z rozpuszczonemi włosami wyglądała tak uroczo... zobaczywszy mnie... wydała słaby okrzyk, zarumieniła się po uszka, i z lekko rozchylonemi ustami, wpatrywała się we mnie, ze zdumieniem. Zaćmiło mi się w oczach, nie wiedziałem co się ze mną dzieje, a gdy oprzytomniałem, już jej nie było, (śpiąco) zjawiła się jak sen uroczy i rozpłynęła się we mgle! Ale jej obraz pozostał na zawsze wyryty w moim umyśle i ...mojem sercu... cudna... urocza... (zasypia)

(Melodram nr. 3)

Chór (za sceną).

Pieśń żniwiarzy — nr. 4.

Słonko blaski sieje,
Bujny kłos dojrzewa,
Cały świat jaśnieje
I rój ptasząt śpiewa. [bis]

(Wśród śpiewu wchodzi Semen.)

SCENA VIII.

Eugeniusz — Semen.

(Stary żebrak wchodzi z prawej, zatrzymuje się, zdejmuje kapelusz, zbliża się do Eugeniusza, staje, opiera na lasce i wpatruje w niego z miłością.)

Chór.

Śpiewaj, ptaszę, śpiewaj,
Będzie nam wesoło,
Raduj serca nasze,
Gdy pot zlewa czoło. [bis]

Eugeniusz (po śpiewie budzi się i przeciera oczy).

Cóż to, zasnąłem? (spostrzega Semena) Kto tu?

Semen.

Niech będzie pochwalony...

Eugeniusz.

Na wieki wieków... żądacie jałmużny, przyjacielu, — co mam... (daje pieniądz)

Semen.

O nie! Bóg wam zapłać, paniczu, ja nie po jałmużnę przyszedłem.

Eugenjusz (łagodnie).

Pocóż więc... czego żądacie?

Semen.

Chciałem was zobaczyć, jasny paniczu.

Eugenjusz (ze zdumieniem).

Mnie?

Semen.

Tak... znałem was, kiedyście byli ot takiem maleńkiem dzieckiem, i nieraz huśtałem was na ręku. — Czy pamiętacie, jasny paniczu, swoją piastunkę Oleńkę?

Eugenjusz.

Bardzo mało, jednak żywo tkwią mi w pamięci jej duże czarne oczy.

Semen.

Prawda? piękne miała oczy! Zupełnie takie, jak... wasze... paniczu.

Eugenjusz (żywo).

Ale, ale, wszak wy, przyjacielu... jakże się nazywacie?

Semen.

Semen, jasny paniczu.

Eugenjusz (jak wyżej).

Wszak wy, Semenie, jesteście z tych okolic, zapewne więc znacie króla dziadów?

Semen.

Naturalnie, jakżebym go mógł nie znać, jestem przecie jego podwładnym.

Eugenjusz (z radością).

Ach! wy więc najlepiej możecie mnie objaśnić. Słyszałem o nim tyle dziwnych rzeczy — któż on jest?

Semen.

Wasyl Hładysz, starzec 90-letni, ślepy.

Eugenjusz.

Ślepy?

Semen.

Ale widzi wszystko i wie o wszystkiem doskonale.

Eugenjusz.

Czy to władza dziedziczna? z ojca na syna?

Semen.

Tak — dzisiajszy Hładysz jest ośmnastym z kolei królem dziadów.

Eugenjusz.

Jestże to prawdą, że posiada tyle dziwnych nadprzyrodzonych przymiotów?

Semen.

Widzę, że on was bardzo zajmuje, paniczu?

Eugenjusz.

W istocie.!

Semen (żywo).

Chcecie go zobaczyć?

Eugenjusz.

Radbym bardzo!

Semen (jak wyżej).

Chodźcie więc ze mną, paniczu, ja was zaprowadzę.

Eugenjusz.

A daleko to?

Semen.

Niedaleko, w Hoszowie, jego chata obok pasieki, nad cudownym zdrojem.

Eugenjusz (z wielkiem zajęciem).

Obok pasieki nad cudownym źródłem? Czy ma on córkę lub wnuczkę cudownej piękności?

Semen (z uśmiechem).

Wiem, o kogo pytacie, jasny paniczu, widziałem was tam przed kilku dniami.

Eugenjusz (jak wyżej).

Znasz ją więc? kto ona? powiedz, przez Boga!

Semen.

Chodźcie ze mną, paniczu.

Eugenjusz.

Natychmiast.

(Chór wpada.)

Semen.

Tylko nie w tych sukniach, przywdziejcie chłopskie.

Eugenjusz.

Tak nagle nie mam.

Semen.

Ja wam dostarczę. (wskazuje ręką na prawo) Chodźmy.

Eugenjusz (żywo).

Chodźmy! (postępuje kilka kroków, zatrzymuje się chwilę w zamyśleniu, poczem mówi z rezygnacją) Ha! — Niech się dzieje wola Boża! Prowadź mnie! (wychodzą na prawo)

Chór.

Ostatnie zagony,
Już pracy niewiele,
Bóg dał piękne plony,
Czeka nas wesele. [bis]

(Zasłona spada.)

Obraz II.

„Hania“.

OSOBY:

WASYL HŁĄDYSZ, król dziadów.
HANIA, jego wychowanica.
IWAN, wnuk.
EUGENJUSZ.
SEMEN.
SYDOR.
MICHAŁ.
PRAKSEDA.
MOTRUNA.
HRYĆKO } opryszki.
MIKOŁAJ }
STARUSZKA.
Wieśniacy, Wieśniaczki, Żebracy, Opryszki.

Informacja.

Wasyl, starzec 90-letni, włosy białe jak śnieg, w gęstych splotach spadają mu na ramiona, długa biała broda i takież wąsy. Kapelusz biały, włochaty, z szeroką kryzą, opasany czarną wstążką. Kaftan niezapięty, biały, wełniany, krótki, obszyty czarną taśmą. Spodnie z szarego płótna, trepki góralskie, czarne, z takiemiż rzemykami. Szeroki, czarny skórzany pas, wybijany mosiężnemi centkami. Wysoka pasterska laska, dwie sakwy czarne skórzane, wybijane gwoździami, gwiazdkami i krzyżykami mosiężnemi. Koszula biała. Na szyi różaniec z dużym mosiężnym krzyżem, drugi zaś z medaljonami okręcony około prawej ręki.

Muzyka nr. 5. Antrakt do obrazu II.

SCENA I.

(Wolna okolica. W głębi wzgórza, po prawej na wzgórzu chata, w środku, w skale źródło. Dokoła drzewa i gęste zarośla, po lewej na przodzie figura.)

Sydor — Prakseda — Michał — Motruna — Wieśniacy — Wieśniaczki — (później) *Staruszka.*

(Dziewczęta mają dzbany w ręku i czerpią wodę ze zdroju.)

Chór nr. 6.

Codziennie o każdej porze
Zewsząd po radę lud spieszy,
Król dziadów wszystkim pomoże,
Strapionych chętnie pocieszy.
On dobrą radę da,
Cudowne leki ma,
Kto szczerze ufa w nie,
Nie zazna cierpień, nie.
Kto jeno pragnie pomocy,
Przed Bogiem głowy uchyla,
Spieszy tu, we dnie czy w nocy,
Do chaty ojca Wasyla.

Chłopcy.

Tu wody tryska zdrój,
Dokoła bluszcz się pnie,
Hej! chłopcze młody, stój!
Tam czary śpią na dnie,

Dziewczęta.

Te czary dla nas raj,
Nie straszne wcale, nie;
Daj dziewczę wody, daj,
By chłopiec kochał cię!

Chór.

Codziennie o każdej porze...
(itd. jak wyżej, ostatnie 2 wiersze bis)

Prakseda (po śpiewie podając dzban).

Sydorze, napij się tej cudownej wody.

Sydor.

Kiedy nie mam pragnienia.

Prakseda.

Ale proszę cię, mój drogi, choć parę kropel.

Sydor.

Czemu?

Prakseda.

Czy nie wiesz, że woda z tego zdroju ma taką własność, że jak dziewczyna zaczerpnie jej dzbanuszkiem i napoi chłopca, to ją pokocha całem sercem?

Sydor.

Ależ ja cię kocham i bez cudownej wody całem sercem! (ściska ją)

Prakseda.

O! wiem o tem, Sydorze, ale wolałabym, żebyś się napił trochę; to naszą miłość uwieczni.

Sydor (ze śmiechem).

Ha! jeśli już tak chcesz konieczni... (pije)

Michał (ze śmiechem).

Ba! żeby to była prawda, toby Motruna miała już dotąd tylu mężów, ile gwiazd na niebie!

Wszyscy (śmiejąc się).

To prawda! ha! ha! ha!

Motruna (stara, brzydka dziewka).

I czegoż się śmiejecie, barany? żem jeszcze nie znalazła chłopca? A czyjaż to wina? wasza! (z płaczem) Cóż z tego, że czerpię cudowną wodę i cały dzień chodzę z pełnym dzbankiem, kiedy żaden z was nie chce się jej napić odemnie?

Michał.

Boby się udławił. (śmiech)

Motruna.

No, kiedyś taki mądrala i w cudowną

wodę nie wierzysz, to napij się jej trochę. (podstawia dzban)

Michał (odskakując).

Albo ja głupi? Djabeł nie śpi, a nużby mi się licho uczepiło i zakochałbym się w tobie?

Motruna.

To i cóż? pobralibyśmy się i tyle.

Michał.

Co, ja z tobą? tfu! a toć wolałbym skoczyć do rzeki, gdzie najgłębsza woda.

Motruna.

Bo wiesz, żebyś i tak się nie utopił. Co ma wisieć, nie utonie.

Staruszka (wchodzi z lewej).

Dobrzy ludzie, czy stary Wasyl jest w chacie? Przychodzę tu z dalekich stron, wnuczka moja od paru lat utraciła mowę i nic jej pomódz nie może. Powiedzieli mi ludzie, że tylko stary Wasyl może ją uzdrowić.

Prakseda.

I dobrze wam powiedzieli. Król dziadów słynie na całą okolicę, wszyscy ludzie szukają u niego pomocy.

Sydor.

Ot, widzicie, ja z Praksedą mamy się pobrać za dwie niedziele i przychodzimy do niego po błogosławieństwo.

Staruszka.

A gdzież on? zaprowadźcie mnie do niego..

Sydor.

Nie wiem, czy w domu..

Prakseda (spostrzega Hanię).

A ot, paniczka idzie, od niej się dowiemy.

SCENA II.

Sydor — Prakseda — Michał — Motruna — Wieśniacy — Wieśniaczki — Staruszka — Dziewczęta — Hania.

Hania (wychodzi z chaty, ubrana w bieli, niosąc pęk suchych ziół w ręku — wesoło).

Dzień dobry wam, moi przyjaciele.

Wszyscy.

Bóg z tobą, dobra panienko.

Hania.

Dziadek wczas rano wyszedł z chaty

i nie wiem jak rychło powróci, ale zostawił dla was ziele. Kto potrzebuje?

Kilka osób.

Ja, ja, ja! (otaczają Hanię, która rozdaje im po pęku ziół)

Michał.

Panienko, ta staruszka odbyła pieszo daleką drogę, aby się poradzić starego Wasyla.

Hania.

Biedna kobieta! Michale, zaprowadź ją do naszej chaty; tam poczeka na dziadka Wasyla i wypocznie z drogi.

Michał.

Dobrze, panienko. (prowadzi staruszkę do chaty i wraca)

Hania (z radością).

A! Prakseda i Sydor! czy przychodzicie na wesele? Kiedyż ślub?

Sydor.

Za dwa tygodnie.

Hania (klaszcze w dłonie).

Za dwa tygodnie, ach! to ślicznie! Jesteś szczęśliwą, Praksedo?

Prakseda.

O, bardzo szczęśliwą!

Hania (jak wyżej).

To cudownie! Przypatrz się, Motruno, jaka z nich ładna para. Niema nic piękniejszego na świecie, jak kiedy się dwoje młodych ludzi kocha szczerze, a jeszcze piękniej, kiedy się pobiorą.

Motruna.

Oj, prawda, prawda, jakby to i mnie na przykład ładnie było z Michałem, ale cóż, kiedy mnie pędziwiatr nie chce.

Michał.

Albo to ja żyd, żebym starszyzną handlował?

Motruna.

Czekaj! pożałujesz tego gorzko.

Prakseda.

No, dzisiaj się już pewnie nie doczekamy starego Wasyla. Wracajmy do domu, Sydorze.

Sydor.

Jutro znów tu przyjdziemy. Zostańcie z Bogiem, panienko.

Hania.

Do widzenia, poczciwy chłopcze, a kochaj zawsze swoją Praksedę, jak ona ciebie.

Sydor (z uśmiechem).

Teraz już muszę, choćbym nawet nie chciał.

Hania.

Czemuż to?

Sydor.

Bo piłem dzbankiem Praksedy wodę z cudownego zdroju. (ściska Praksedę)

Hania.

Ach! jak to ładnie! jak to pięknie! niech wam Pan Bóg błogosławi.

Wszyscy (kłaniając się).

Bywajcie zdrowi, panienko!

Hania.

Bywajcie zdrowi, przyjaciele!

(Wszyscy odchodzą na lewo. — Chór powtarza nr. 6. — Śpiew milknie w oddali.)

SCENA III.

Hania — (później) *Iwan.*

Hania (po śpiewie).

Dobrze, że już odeszli, on może niezadługo przyjdzie. Boże! jak mi serce bije. sama nie wiem dlaczego? Znam go tak mało, zaledwie raz czy dwa widziałam go z daleka, a zdaje mi się jak gdybym znała go od dawna! czemu to? Przeczuwam każde jego przybycie, jestem niecierpliwa, roztargniona i bezustannie wyglądam na gościniec, jeśli go długo nie widać, ale za to, gdy go zobaczę, tak mi wesoło, takam szczęśliwa, że całowałabym świat cały, ludzi, drzewa, ptaszki i wszystko, wszystko dokoła!

Śpiew nr. 7. Dumka.

Codziennie wieczorem dziewczę wyśpiewuje, bo ma
[w sercu ciężki żal,
A głos rzewny piosenki wiatr niesie het daleko w gaj,
W gaj ten uroczy, gdzie owej nocy jam go poznała,
Dziś już nie wróci i nie pocieszy serce strapione.

Ni ja ojca, matki, ni żadnej rodziny, mój ty miły Boże,
Aby mnie przytulił, pocieszył serce strapione,
Znikąd pociechy otrzymać mogę, miły ty Boże,
Obraz chłopczyny serce dziewczyny pocieszyć może.

(Iwan wchodzi z prawej, na wzgórzu zatrzymuje się i patrzy na Hanię.)

Hania.

Może on nie wróci już wcale? Toby było okropne! Ach! biednaż ja, biedna, cóżby się ze mną stało? Umarłabym, ma się rozumieć, och! niezawodnie. (z uśmiechem) Ale on przyjdzie, czuję to po biciu serca, musi nawet być już niedaleko, bo serce uderza mi coraz żywiej, może nawet... (ogląda się i spostrzegłszy Iwana, wydaje okrzyk przestrachu) Iwan! znów przyszedł mnie dręczyć. Nie cierpię tego człowieka.

Iwan (zbliża się).

Widzę, że cię przestraszyłem, Haniu, to bardzo źle; wolałbym, żeby cię mój widok cieszył, a nie przerażał.

Hania.

Źle sobie tłomaczysz mój przestrach, Iwanie, nie słyszałam cię nadchodzącego, sądziłam, że niema nikogo, spostrzegłszy cię nagle...

Iwan.

Nie wykręcaj się, Hanusiu, wiem, że ci jestem niemiły, i że uciekasz przedemną.

Hania.

Ależ nie, zdaje ci się.

Iwan (żywo).

Więc lubisz mnie? O, powiedz, moja Haniu. (zbliża się)

Hania (odsuwa się od niego).

Tak jak każdego człowieka, zresztą, jesteś wnukiem mego dobroczyńcy, masz więc prawo do mojej życzliwości, ale nie nadużywaj jej, Iwanie.

Iwan.

Mówisz o życzliwości, a pogardzasz mną, odrzucasz moją miłość, choć wiesz, że cię kocham całą duszą, całem sercem.

Hania.

Przestań, Iwanie.

Iwan.

Jestem ci wstrętnym, że mnie nawet słuchać nie możesz.

Hania.

Bo nie powinnam.

Iwan.

I zawsze będziesz tak niedostępną, tak okrutną, Haniu? Nie masz w swojem sercu

ani iskry litości? nie wzruszy cię moja boleść? nie odpłacisz mi nigdy współczuciem za moje szczere i głębokie przywiązanie? (składa ręce) Haniu! czy to być może, żebym dla ciebie mógł być tak obojętnym? Wszak chowaliśmy się razem, pod jednym dachem spędziliśmy młodość, pod moim okiem rozwijałaś się jak kwiatek. Przylgnąłem do ciebie całą duszą, przywiązałem sie jak pies i czuję, że już teraz bez ciebie żyćbym nie potrafił. Przysiągłem sobie, że musisz być moją, i słowa dotrzymam.

Hania.

Nigdy! — mogę kochać ciebie jak... bliźniego... jak brata, ale... nie więcej, my nie dla siebie stworzeni.

Iwan.

Czemuż to? harda dziewczyno? czy dlatego, żeś ty córką ekonoma, a ja synem żebraka? Ależ do licha! gdy twojego ojca dziedzic wypędził ze dworu jak psa, mój dziad dał wam przytułek dostatni, wygodny. (z ironią) Wreszcie, do szatana! nie jestem przecie zwyczajnym żebrakiem. Jestem potomkiem króla dziadów i jego następcą! a naszym skarbem mógłbym obdzielić całą okolicę.

Hania.

Nie rozumiesz, Iwanie, kochałabym cię, choćbyś był ubogim... gdybym cię kochać... mogła.

Iwan (wpatruje się w nią i mówi dobitnie).

A więc kochać mnie nie możesz? dlaczego?

Hania.

Dziwne pytanie, bo nie mogę.

Iwan (jak wyżej).

Strzeż się, dziewczyno! abym nie zaczął podejrzywać, że inny zajął miejsce w twojem sercu. Biada temu! ktoby śmiał stanąć między mną a tobą. Przypłaciłby to życiem! Bledniesz?

Hania.

Czem nabyłeś prawo rozporządzania mojem sercem? Takiego prawa nikt nie ma prócz Boga.

Iwan.

Ha! ha! prawo! Co mnie obchodzi jakieś tam prawo? Ja wiem tylko to, że cię kocham! że musisz być moją! i że każdego, ktoby się poważył zabierać mi moje szczęście, rozszarpałbym własnemi zębami!

Hania.

Czy zapomniałeś przestrogi dziadka Wasyla? On zakazał ci surowo przemawiać do mnie w ten sposób. Powiedział ci wyraźnie, że ja nie dla ciebie i żebyś sobie wybił to szaleństwo.

Iwan.

Wybił z głowy! ha, ha! ha! Gdyby to szaleństwo mieściło się tylko w głowie, nietrudno byłoby o lekarstwo, ale kiedy obejmie całego człowieka, całą duszę, wszystkie myśli i pragnienia. Tam nie pomoże ani zakaz dziadka Wasyla, ani twoja pogarda! Szalony jestem! tak, szalony! i strzeż się doprowadzić mnie do rozpaczy.

Hania.

Nie lękam się twoich pogróżek.

Iwan (gwałtownie).

Pamiętaj, dziewczyno, żeś mnie wyzwała! Dotąd tylko prosiłem, błagałem twojej litości, teraz postąpię przeciwnie i przysięgam, że ja także będę bez litości dla ciebie.

Hania.

Ja cię o nią z pewnością prosić nie będę. (idzie ku chacie)

Iwan.

Odchodzisz? namyśl się, dopóki pora, bo możesz pożałować tego kiedyś.

Hania.

Już się namyśliłam i odchodzę. Dziadek Wasyl jest potężny i osłoni mnie przed tobą. (odchodzi)

Iwan.

Zobaczymy!

SCENA IV.

Iwan (sam — potem) *Hryćko i Mikołaj.*

Iwan (mocno wzburzony).

Do szatana! co mnie tak przykuło do tej przeklętej dziewczyny? Całe piekło wre w moich piersiach! — Gdy widzę, że ona mną gardzi jak wstrętnym gadem, że kocha innego, szał mnie ogarnia, zazdrość piekielna szarpie mi serce! A ona drwi sobie z mojej boleści! — O poczekaj, jaszczurko! przekonasz się, że z Iwanem igrać nie można. (namyśla się) Tak, niema się co dłużej namyślać, im wcześniej, tem lepiej! (zwraca się na prawo i gwiżdże trzy razy) To jedyny środek, byleby się tylko udało.

Hryćko.

Czy już?

Mikołaj (wchodzi z lewej).

Jesteśmy gotowi!

Iwan.

Dobrze, ale nie ważcie się zdradzić mnie! Nikt wiedzieć nie powinien, że to ja wam rozkazałem. Ja nie wiem o niczem, rozumiecie?

Hryćko — Mikołaj (razem).

Rozumiemy.

Iwan.

Wy będziecie odpowiedzialni za wszystko.

Hryćko (zwraca się na prawo).

Ktoś idzie.

Iwan (żywo).

Ukryjcie się co prędzej, a baczcie pilnie i ostrożnie.

(Hryćko i Mikołaj wybiegają szybko.)

Iwan (patrzy na prawo).

Kto to być może? przecież nie Wasyl, do djabła? Toby mi popsuło całą sprawę.

Kroki się zbliżają, należałoby się stąd oddalić, ale jakaś siła przykuwa mi nogi do ziemi. Byłżeby to kochanek Hani? Tak, to bardzo być może! Zaczaję się; idzie. Ach! to Semen, zobaczył mnie. Przeklęcie! niemiłe spotkanie! to może wzbudzić w nim podejrzenie.

SCENA V.

Iwan — Semen (wchodzi z prawej).

Semen (surowo).

Iwan! Co tu robisz?

Iwan.

Nic, przyszedłem do dziadka.

Semen.

Kłamiesz! wiedziałeś dobrze, że dziadka niema w chacie i że wróci dopiero wieczorem. Poco więc dotąd przyszedłeś?

Iwan (zuchwale).

Alboż mi nie wolno?

Semen.

Nie wolno!

Iwan (jak wyżej).

Ha! ha! wnukowi nie wolno przyjść do chaty swojego dziadka? Oszalałeś stary?

S e m e n.

Wasyl zabronił ci wyraźnie zachodzić tu podczas jego nieobecności!

I w a n.

Bo ogłupiał na starość.

S e m e n.

Precz stąd!

I w a n (gwałtownie).

Co? ty śmiesz mi rozkazywać? stary niedołęgo! czy nie wiesz kim jestem? Jestem wnukiem króla i jego następcą! i ty mnie słuchać powinieneś!

S e m e n.

Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz, jeszcze królem nie jesteś.

I w a n.

Ale nim będę.

S e m e n.

Niewiadomo... żaden z królów dotychczas nie był opryszkiem.

I w a n.

I jabym nie był, żeby mnie dziadek z chaty nie był wypędził. Cóż miałem robić?

żebrać przy drodze i na odpustach, albo, co gorsza, pracować w krwawym pocie od świtu do nocy? Ja do tego nie stworzony. A zresztą być opryszkiem, to wcale u nas nie jest hańbą. Przeciwnie, wszyscy mnie podziwiają, dziewczęta dumki o mnie śpiewają na wieczornicach, szaleją za mną.

Semen.

Ale człowiek uczciwy ręki ci nie poda i nie zasiądzie z tobą przy jednym stole.

Iwan.

Nie dbam o głupców. (wskazuje na prawo) A! co ja to widzę?

Semen (zmieszany).

Co? gdzie?

Iwan.

A ot, młody dziedzic, przebrany po chłopsku!

Semen (na stronie).

Nieostrożny.

Iwan.

Czego on tu chcieć może? Ha! ha! toć może w zaloty do Hani?

Semen (żywo).

Cóż znowu?

Iwan.

Nie udawaj napróżno, stary, nie umiesz kłamać, znać po tobie, żeś pomieszany (surowo) i to ty może dotąd go sprowadziłeś?

Semen.

Tak, ja.

Iwan (gwałtownie).

A! strzeż się!

Semen.

Ależ uspokój się, w tem niema nic niezwykłego. Ot, zwyczajnie panicz, jak każdy młody, ciekawy, nasłuchał się tyle o królu dziadów, że radby poznać go koniecznie, prosił mnie...

Iwan (jak wyżej).

Kłamiesz!

Semen.

Ja nigdy nie kłamię.

Iwan.

A jednak tym razem skłamałeś, zaraz cię o tem przekonam.

Semen.

Co chcesz uczynić?

Iwan.

Zobaczysz... (woła) Hej, jasny paniczu, prosimy bliżej, bądźcie łaskawi. (zwraca się do Semena)

Semen.

Chcesz mu zrobić co złego? Ani się waż, wyrodku!

Iwan (ironicznie).

Bądź spokojny, nie zrobię mu krzywdy, przynajmiej nie teraz. Otóż i on.

SCENA VI.

Iwan — Semen — Eugenjusz.

Eugenjusz (z prawej wchodzi w góralskim stroju).

Tak długo kazałeś czekać mi, Semenie, a ona, gdzie jest ona?

(Semen żywo postępuje ku Eugenjuszowi.)

Iwan (wyprzedza Semena i zbliża się do Eugenjusza, bardzo grzecznie).

O kogo się pytacie, paniczu?

Eugenjusz.

O kogo! (spostrzega znak Semena) co ciebie to obchodzi?

Iwan.

Bo tu mieszka jedna tylko niewiasta, wychowanica mego dziada, jasnowłosa Hania. Czy o nią pytacie?

Eugenjusz.

Nie.

Iwan.

To szkoda, bo ja jako jej narzeczony...

Eugenjusz (żywo).

Co? tyś jej narzeczony?

Semen.

Kłamstwo!

Iwan (do Semena groźnie).

Milcz! (do Eugenjusza bardzo łagodnie) Tak, paniczu, jestem jej narzeczonym, kochamy się od dzieciństwa, właśnie przed chwilą układaliśmy dzień ślubu; ona radaby choć dzisiaj, stanąć ze mną przy ołtarzu, kocha mnie do szaleństwa.

Eugenjusz.

To być nie może.

Semen.

Nie wierzcie mu, paniczu.

Iwan (do Semena groźnie).

Milcz! powtarzam. (do Eugenjusza bardzo pokornie). Dlaczego wątpicie, paniczu? jestem tak brzydki, tak odrażający, że mnie kochać nie można? Och! gdybyście wiedzieli jak mnie ściskała, jak całowała serdecznie, że ledwo zdołałem wyrwać się z jej objęć.

Semen.

Przestań, Iwanie.

Iwan.

Czemu, Semenie? kiedy to panicza zajmuje, jak widzę. Młodzi lubią słuchać o miłości, jeszcze takiej jak nasza. Bo i ja ją kocham, paniczu i jak kocham! (coraz gwałtowniej) A zazdrosny jestem do wściekłości, gotów jestem zabić każdego, ktoby śmiał, choćby tylko pomyśleć o niej. (dobywa noża) Ot, wyostrzyłem sobie nóż, i noszę go zawsze przy sobie, czuwam bezustannie i jak spostrzegę kogo, że kręci się koło naszej chaty... (zbliża się do Eugenjusza) i spogląda czule na moją Hanię, (podnosi nóż do góry) przebiję go!

Semen (chwyta go za rękę z przestrachem).

Iwanie!

Eugenjusz.

Cóż to, ośmielasz się grozić mi, niegodziwcze?

Iwan (bardzo pokornie).

Wam, paniczu? ja? Ale cóż znowu. Ja wam tylko opowiadam, wy przecież nie zachodzicie do Hani? wszak prawda?

Eugenjusz.

Precz stąd!

Iwan.

Gniewacie się na mnie, paniczu? O mój Boże! czy was obraziłem?

Eugenjusz (tupie nogą).

Precz! mówię.

Semen.

Odejdź, Iwanie!

Iwan

Ha! kiedy panicz tak każe, odchodzę, ale mi to bardzo przykro. Pan Bóg z wami, jasny paniczu! (kłania się nisko, zwraca na lewo i przechodząc koło Semena, mówi po chwili ze złością) Porachujemy się ze sobą, stary łotrze! (wychodzi)

SCENA VII.

Semen — Eugenjusz.

Eugenjusz.

Co to wszystko ma znaczyć, Semenie?

Semen (daje znak, aby milczał, patrząc na lewo).

Pst... poczekajmy, aż się oddali...

Eugenjusz.

Ach! mniejsza o to, mnie pali niepewność, słowa tego węża, brzmią mi w uszach jak piekielna muzyka! Jestże to prawdą? ona go kocha? Odpowiadaj, Semenie, no, odpowiadajże, przez Boga!

Semen.

Aleć uspokój się, paniczu.

Eugenjusz.

Ja mam się uspokoić, kiedy jestem cały wzburzony, a krew uderza mi do głowy!

Semen (bierze go łagodnie za rękę).

Nie tak gwałtownie, jasny paniczu. Ot, spocznijcie na tej darninie, a ja wam wszystko wyjaśnię. (sadza go na ławie i sam siada obok niego na kamieniu) Najprzód mogę was za-

pewnić, że Hania wcale nie kocha Iwana, przeciwnie, gardzi nim.

Eugenjusz (z radością).

Jesteś tego pewny, Semenie?

Semen.

O, jak najpewniejszym. Wiem zresztą, do kogo zwraca się jej serduszko... Człowieka, o którym mówię, widziała zaledwie dwa razy, a już go nigdy nie zapomni.

Eugenjusz.

O kim mówisz?

Semen.

O was, jasny paniczu.

Eugenjusz.

O mnie? — o mój Boże

Semen.

Trzeba jednak, abyście, paniczu, zaczem się bliżej poznacie, wiedzieli, kto ona jest.

Eugenjusz.

Co mnie to obchodzi, dość, że kocham i jestem kochany.

Semen.

Mówicie jak każdy młody, a do tego zakochany, nie oglądając się na jutro, a to jutro może być bardzo pochmurne. Posłuchajcie więc, paniczu. Hania jest córką dawnego ekonoma z Wyżyniec.

Eugenjusz.

Stanisława?

Semen.

Tak, którego ojciec wasz wypędził przed kilkunastu laty — niewinnie. Bo Stanisław był zacnym i uczciwym człowiekiem. Bez dachu i chleba tułał się po świecie, aż znalazł przytułek u starego Wasyla, króla dziadów. W rok potem umarł, pozostawiając jedyną córkę, wówczas pięcioletnią Hanię, na opiece Wasyla. Wiecie więc teraz prawdę, paniczu, rozważcie dobrze, co wam czynić wypada.

Eugenjusz.

Ależ tu niema nic do rozwagi! Prawda, że będę miał wiele trudności z ojcem, ale to nie zagłuszy we mnie obowiązków serca i sumienia.

Semen (z radością).

To bardzo pięknie, bardzo uczciwie z waszej strony. Bóg wam to wynagrodzi; zobaczycie, paniczu, jak będziecie z nią szczęśliwi. Czy wiecie, ja ją od dawna przeznaczyłem na waszą żonę. Z rozkoszą patrzyłem jak rosła, jak piękniała z dniem każdym, podziwiałem jej dobroć, łagodność, i myślałem sobie, to będzie żona dla mojego drogiego, ukochanego panicza.

Eugenjusz.

Ale powiedz mi, poczciwy Semenie, czemże zasłużyłem sobie na tyle przywiązania z twej strony?

Semen.

Czem, paniczu? — bo waszą matką... (poprawia się) waszą mleczną matką — była córka króla dziadów, Oleńka.

Eugenjusz.

Cóż dalej?

Semen.

Na prośby moje stary Wasyl przebaczył córce i przyjął pod swój dach wraz z dzieckiem. W tym czasie we dworze

potrzebowano mamki dla dziecka, Oleńka się zgodziła i służyła trzy lata.

Eugenjusz.

A jej dziecko, czy umarło?

Semen (wpatrując się w Eugenjusza).

Nie — żyje — wyrósł z niego piękny, zacny młodzieniec, bardzo podobny do matki, szczególniej z oczu.

Eugenjusz.

I gdzież on jest? tu we wsi?

Semen.

Tak!

Eugenjusz.

Słyszałem, że król dziadów ma tylko jednego wnuka, który jest opryszkiem; czy to on?

Semen (spuszcza oczy).

Tak — Iwan.

Eugenjusz (ze zdumieniem).

Mówiłeś, że dziecko podobne było do matki, tymczasem Iwan ma oczy i włosy jasne, Oleńka zaś, pamiętam doskonale, miała oczy i włosy czarne jak heban.

S e m e n (zmieszany).

Ano, pomyliłem się.

E u g e n j u s z (na stronie).

To dziwne, w tem tkwi jakaś zagadka.

SCENA VIII.

Semen — Eugenjusz — Hania (z dzbankiem w ręku, wybiega z chaty, śpiewając, postępuje kilka kroków, spostrzega Eugenjusza, wydaje okrzyk i staje nieruchoma).

E u g e n j u s z (na śpiew Hani zwraca głowę, zrywa się z radością).

To ona! (biegnie kilka kroków w głąb i staje nieruchomo, wpatrując się w Hanię)

S e m e n (na stronie).

Ha! chyba ja stary dziad niepotrzebny tutaj... (idzie na prawo i siada na ziemi za figurą)

E u g e n j u s z.

Haniu! zbliż się do mnie, drogie dziecię.

H a n i a.

Nie mam czasu, idę po wodę.

E u g e n j u s z (wskazując zdrój).

Wszak źródło jest tutaj.

Hania.

Ach! prawda!

Eugenjusz (zbliża się do Hani, bierze ją za ręce i sprowadza na dół).

Czy się mnie lękasz?

Hania (wesoło).

Was, panie? och nie! wcale nie!

Eugenjusz.

To bardzo dobrze — a czy mnie poznajesz?

Hania (jak wyżej).

Naturalnie! byliście tu przed paru dniami. Och, mój Boże! myślałam, że już nie wrócicie, paniczu! tak mi było tęskno!

Eugenjusz (z radością).

Tęskniłaś za mną?

Hania.

Ma się rozumieć — a za kimżeby?

Eugenjusz.

Lube, drogie dziecię!

Hania.

Codziennie wyglądałam waszego przybycia, ale napróżno. (seryo) Dlaczego nie przychodziłeś? czy to ładnie, co?

Eugenjusz.

Och! gdybym był wiedział, że mnie oczekujesz, i że będę mile przyjętym, przyleciałbym na skrzydłach ptaka.

Hania.

A teraz? będziesz przychodził codziennie, nieprawdaż?

Eugenjusz.

Czy możesz wątpić? nie przeżyłbym jednego dnia bez twego widoku. Ach! jakżem szczęśliwy! Więc ty mnie kochasz, Haniu? O, powiedz, powiedz, drogie dziecię!

Hania.

Ja... nie wiem...

Eugenjusz.

Jakto, nie wiesz?

Hania.

Mój Boże, skądże mogę wiedzieć?

Eugenjusz.

Ależ to nietrudno. Gdybym na przykład nigdy już nie wrócił dotąd..

Hania (z przestrachem).

Nigdy? czemu?

Eugenjusz.

Przypuszczam tylko — albo gdybym umarł... czy płakałabyś za mną?

Hania.

Ach! jak można mówić o takich okropnych rzeczach? To brzydko! (z płaczem) to, to szkaradnie! umarł... dlaczego zaraz umarł? Och! drętwieję cała. Idź sobie, poco mnie dręczysz? ja, jabym także umarła, naprawdę umarła.

Eugenjusz (tuląc ją w objęciach).

Widzisz więc, moje dziecię, że mnie kochasz, no... uspokój się, ja wcale umrzeć nie myślę, przeciwnie, pragnę żyć, żyć jak najdłużej, aby cię kochać, aby cię pieścić, mój luby gołąbku. Nic mnie z tobą rozdzielić nie zdoła. Ty, ty jedna będziesz panią mojego serca, w twoim ręku spoczywa moje życie i moje szczęście.

Hania (wzruszona).

Paniczu!...

Eugenjusz.

O, powiedz Eugenjuszu!

H a n i a (jak wyżej).

Eugenjuszu! jakiś ty dobry! czy zawsze będziesz takim dla mnie?

E u g e n j u s z.

Pytasz o to, moja najdroższa? czyż można nie kochać takiego anioła? Ależ to byłoby zbrodnią.

H a n i a.

Tak, tak, to byłoby zbrodnią, gdybyś o mnie zapomniał.

E u g e n i u s z.

O tobie? nigdy! nigdy! (przyciska ją do piersi)

S e m e n (na stronie).

Tam, widzę, idzie nie na żarty! Hej, hej, bodaj to miłość!

E u g e n j u s z.

A teraz powiedz mi, droga Haniu, że mnie kochasz.

H a n i a.

Alboż nie wiesz?

E u g e n j u s z.

Ale to tak błogo usłyszeć wyznanie z drogich nam ustek; nie odbieraj mi tej

rozkoszy, tej najpiękniejszej chwili w mojem życiu. No, powiedz, powiedz, Haniu.

Hania (przechyla głowę na piersi Eugenjusza i mówi cicho).

Kocham...

Eugenjusz.

Droga moja... (całuje ją w usta)

Semen (na stronie).

Poczciwe dzieci, jak oni się całują! Niech im Bóg najwyższy błogosławi.

Hania (wyrywając się z objęć).

Odejdź już, Eugenjuszu, zaczyna się zmierzchać, dziadek Wasyl lada chwila nadejść może, muszę mu przygotować wieczerzę. A gdzież Semen? zdawało mi się, że tu był.

Semen (podchodząc).

Jestem, panienko.

Hania.

Słyszeliście?

Semen (z uśmiechem).

Słyszałem i widziałem.

Hania.

O, proszę was, nie mówcie nic dziadkowi.

Semen (jak wyżej).

Niech się panienka nie boi, ja sam przyprowadziłem tu panicza; wszystko będzie dobrze. (do Eugenjusza) Chodźmy już.

Hania (żywo).

Jeszcze chwilkę! (biegnie szybko do zdroju, czerpie dzbanuszkiem i podaje Eugenjuszowi) Masz zapewne pragnienie, Eugenjuszu?

Eugenjusz.

Wcale nie.

Hania.

Napij się cokolwiek, proszę cię.

Eugenjusz.

Ale dlaczego?

Semen (na stronie).

Biedne dziecko. (głośno) Bo widzicie, paniczu, woda z tego zdroju, utrwala miłość.

Eugenjusz.

Och, jeżeli tak! (chwyta dzban i pije — po chwili) Czy jesteś teraz zadowoloną, Haniu?

Hania (z radością).

Dziękuję ci. (podaje mu rękę)

Eugenjusz.

Do widzenia, jutro, nieprawdaż?

Hania.

Jutro!

(Eugenjusz i Semen idą na prawo, po chwili Eugenjusz zwraca się, biegnie do Hani i całuje ją w czoło, poczem wychodzi na prawo. Hania idzie na wzgórze, staje i patrzy za Eugenjuszem. Z lewej na wzgórzu ukazuje się dwóch opryszków, po cichu skradają się do Hani i nagle chwytają ją za ręce z tyłu. Równocześnie ze wszystkich stron wpadają na scenę opryszki.)

Melodram nr. 8.

Hania.

Ratunku! ratunku!

Hryćko.

Zatkać jej gębę!

Mikołaj.

Udało się!

SCENA IX.

(Melodram, muzyka naśladuje głos liry.)

Hania — Hryćko — Mikołaj — Opryszki.

Wasyl (ukazuje się na wzgórzu na prawo).

Co się tu dzieje?

O p r y s z k i (z przestrachem).

Król dziadów! (zdejmują kapelusze i puszczają Hanię)

H a n i a (biegnie do Wasyla).

Dziadku, ratuj!

W a s y l (groźnie).

Jak śmiecie, łotry!?

O p r y s z k i.

Nie wiedzieliśmy...

W a s y l (jak wyżej).

Milczeć! Co pod moim dachem, to święte. Precz stąd!

(Opryszki kłaniają się i wybiegają szybko w różne strony.)

W a s y l.

Biedne moje dziecię! (tuląc Hanię do piersi, przechodzi z nią na lewo do chaty, za nim postępuje sześciu żebraków)

(Muzyka do końca obrazu. Melodram gra się do końca).

(Zasłona spada.)

Obraz III.

„Zbójecki taniec“.

OSOBY:

IWAN OŁEŃ MYKITA HRYĆKO MIKOŁAJ SAWA BUCHRYN JAŃCZUK WAŃKA	opryszki.
SZMUL	

Antrakt muzyki do obrazu III nr. 9.

(Las, w środku sceny ognisko, dokoła drzewa i zarośla, w głębi nieco na wzgórzu jaskinia, w której widać w głębi grających opryszków przy ognisku. Opryszki w różnych grupach rozrzuceni po scenie.)

Mykita — *Ołeń* (i kilku) *Opryszków* (stoją na przodzie.)

Mykita (mały, gruby, brzydki).

Et, co mi tam bajesz? głupia sprawa, ta i tyle. Iwan nie stworzony na dowódcę, to pacholę do zabawy dziewcząt! Tydzień przeszło trzyma nas w tej dziurze bezczynnie. Człowiek nic zarobić nie może. Kieszenie próżne, a z flaszki dzisiaj ostatnią wysączyłem kropelkę!

Ołeń.

Djablo duża musiała być ta kropelka, kiedy się na nogach utrzymać nie możesz.

Mykita.

Ot, głupiś ta i tyle, piłem dwa razy. E co, sto razy więcej, a stałem jak dąb

niewzruszony, dzisiaj zaś, mówię wam, to były czary szkaradne, ta i tyle!

Ołeń.

Piękne mi czary! pełny dzban wódki.

Mykita.

He, he, przyjacielu, u mnie fraszka wyżłopać konewkę wódki, a potem przepłókać jeszcze gardło dzbanem gorzałki, a pomimo to nigdy się nie taczałem.

Ołeń.

Naturalnie, bo od razu zwaliłeś się jak kłoda bez duszy i dopiero budziłeś się na czwarty dzień.

Mykita.

Nie, bracie, tylko zawsze pozostawiałem ostatnią kroplę w dzbanie, bo, jak wam wiadomo, w ostatniej kropli, djabeł siedzi. Tymczasem dzisiaj czart mnie opętał i wypiłem wszystko. Jeszcze nie odjąłem dzbana od gęby, gdy przypomniałem sobie przestrogę. Strach, bracie! włosy dęba stanęły mi na głowie. Powoli, powolutku... zaglądam do dzbana... a tam, na dnie czart szelma siedzi sobie w kuczki; ujął się pod

boki i język mi pokazuje. Wtenczas, bracie, zgłupiałem.

Ołeń.

Dopiero wtenczas?

Mykita.

Niewiele myśląc roztrzaskałem dzban o ziemię i w nogi co sił, leciałem jak wicher, aż wyrżnąłem łbem o drzewo; drzewo stało, a ja się przewróciłem.

Ołeń.

Do licha — niemiłe spotkanie.

Mykita.

Djablo niemiłe, ta i tyle, ale to jeszcze nie koniec. Oglądam się poza siebie, a tu szatan stoi za mną. Powiadam wam, potwór, o jakim nawet św. Michał nie ma wyobrażenia. Rogi bestja miał kręcone jak baran, ogon, nie przymierzając, jak cielę, ogromny pałasz przy boku, ostrogę przy lewym bucie.

Ołeń.

I stał sobie tak spokojnie?

Mykita.

Ale gdzie tam spokojnie, podskakiwał na jednej nodze i gwizdał kołomyjkę; widocznie pochodził z naszej okolicy.

Ołeń.

Dziwi mnie, że ci łba nie urwał.

Mykita.

O! miał do tego wielką ochotę, ale trzymałem się silnie obiema rękami za włosy.

Ołeń.

I jakże się to skończyło?

Mykita.

Ano po chwili przyskoczył ku mnie i strzepnął ze siebie piekielną kurzawę. Aż ciemno zrobiło się dokoła, a ja, jak tylko wciągnąłem w siebie powietrze, zakręciło mi się w nosie jak świdrem i zacząłem kichać jak najęty. (śmiech) Ale co najgorsze to to, że za każdym razem uderzałem nosem o kolosalny pień złamanego drzewa jak żebym nie miał nic lepszego do roboty. Napróżno wykręcałem głowę

w różne strony, przewracałem się z boku na bok, ile razy kichnąłem, zawsze musiałem trafić nosem w drzewo. Czary obrzydłe, czary ta i tyle.

Ołeń (śmiejąc się).

Musiałeś pewnie porąbać drzewo w kawałki?

Mykita.

Mniejsza o drzewo, ale mój nos, patrzaj tylko na mój nos. Ażebyś wiedział ile w nim drzazg, to możnaby niemi w piecu napalić.

Sawa (zbliżając się z głębi).

Ołenie, zamiast rozprawiać z tem pijanem bydlęciem, wolałbyś nam raczej zaśpiewać co wesołego.

Wszyscy.

Tak, tak, śpiewaj Ołenie!

Ołeń.

Ha! do tego nigdy nie zbywa mi na ochocie.

Mykita.

I pić, jak ja na przykład.

Śpiew nr. 10 na baryton.

Ołeń (solo) i chór.

Wesoło żyć,
Kochać i pić!
To mi radość! To wesele!
Kto myśli tak,
Ma dobry smak.
Dalej żwawo, przyjaciele!

Chór (powtarza)

Wesoło żyć i t. p.

Ołeń (solo).

Choć czasem głód,
Przejmuje chłód,
To opryszkom nic nie szkodzi.
Swobodny stan, wesoły tan
Spędza smutek,
Życie słodzi!

Chór (powtarza).

Choć czasem chłód i t. d.

Ołeń (solo).

Śpiewajmy wraz,
Gdy przyjdzie czas,
Aż od pieśni zadrży skała.
Czyj dzielny duch,
Ten w tańcu zuch,
Temu pokłon, temu chwała!

Chór (powtarza).

Śpiewajmy wraz i t. d.

Mykita (po śpiewie).

Wszystko to bardzo ładne, ale tak dłużej zostać nie może. Jeżeli się Iwan nie poprawi, to zrzućmy go z dowództwa, ta i tyle.

Ołeń.

Milcz, opoju, Iwan nic nie robi; ani się spodziewasz, jaką on nam gratkę gotuje. Tylko cierpliwości, (za sceną słychać świst) to on! (odpowiada świstem): Zdaje się, że będziemy mieli wkrótce robotę.

SCENA II.

Mykita — Ołeń — Sawa — Opryszki — Iwan (wchodzi z prawej).

Iwan.

Czy Hryćko i Mikołaj nie wrócili jeszcze?

Ołeń.

Nie!

Iwan.

Hej, Mykita. Chcesz zarobić dzban wódki, czy nie?

Mykita.

Dziwię się jak możesz wątpić o tem? Za wódkę poszedłbym na samo dno piekła, ta i tyle, cóż mam robić?

Iwan.

Niewiele, weźmiesz kilku naszych i zaczaicie się przy drodze do Niżyniec, a jak nadjedzie żyd Szmul, pochwycicie go i tu przyprowadzicie.

Mykita.

A czy nie możnaby go na pierwszem z brzegu drzewie powiesić? Dawno już nie wieszałem, aż mnie ogarnia tęsknota, ta i tyla.

Iwan.

Ani się ważcie! — Chcę go żywcem mieć w ręku.

Ołeń.

To możebym ja poszedł, Iwanie?

Iwan.

Nie, ty zostaniesz, mam z tobą do pomówienia. No, spiesz się, Mykito, bo żyd lada chwila nadjedzie i może się nam wymknąć.

Mykita.

I jakże tak o suchej gębie pójdę do roboty? Dajże nam choć parę kropel na zadatek.

Iwan (daje mu butlę).

Dajcie mu tam — a spiesz się żywo.

Mykita.

Już idę, obwiesić mi go nie wolno, ale mu za to uszy i pejsy poobrywam, ta i tyle. (idzie w głąb, zabiera kilku opryszków i wychodzą na lewo)

SCENA III.

Iwan — Ołeń.

Ołeń.

Ale cóż tobie po Szmulu? Pieniędzy nie ma, albo przynajmniej dobrze ukryte i nigdy z sobą nie wozi.

Iwan.

Nie o jego pieniądze mi chodzi.

Ołeń.

A o czyjeż?

Iwan.

O moje.

Ołeń.

Niech mnie czarci porwą, jeżeli co rozumiem.

Iwan.

Czy nie słyszałeś nigdy, że król dziadów ma skarb i to niemały?

Ołeń.

Jakżebym nie miał słyszeć? Toć każde dziecko wie o tem.

Iwan.

A to nieszczęście, że ukryty, a ja nie wiem gdzie.

Ołeń.

Dowiesz się o tem po śmierci Wasyla, kiedy zostaniesz królem dziadów.

Iwan.

A gdybym nim nie został?

Ołeń.

Czemu?

Iwan.

Raz, że na to się nie zanosi, bo dziadek i Semen i wszyscy żebracy są mi przeciwni, a potem ja sambym nie chciał.

Ołeń.

Nie chciałbyś? dlaczego?

Iwan.

A, to nie dla mnie! Żyć jak święty, spokojnie, cicho, spędzać czas tylko na modlitwie. Do djabła, zwarjowaćby można, a co najgorsze! król dziadów musi być ślepym, brrr! Strach pomyśleć, oślepnąć w tak młodym wieku. Nie widzieć już nigdy świata, ludzi, pięknych dziewcząt, raczej roztrzaskać sobie łeb o skałę.

Ołeń.

Rzeczywiście, to niebardzo wesołe.

Iwan.

Otóż widzisz, Ołenie, ja wyrzekłbym się tej przyjemności, razem z królowaniem, a poprzestałbym chętnie na samym tylko skarbie.

Ołeń.

Wierzę, ale bez korony nie będzie i skarbu. Jakże tu zrobić?

Iwan.

Wykraść.

Ołeń.

Hm! to krucha sprawa, wolałbym mieć do czynienia z całym bataljonem wojska, jak

ze starym królem dziadów, to czarownik nielada! Zanim dojdziemy do skarbu, gotów nas przemienić w capy, albo barany, kazać trawkę skubać i całe życie żywić się ostem i pokrzywą. Tfu, djablo niemiłe przysmaki.

Iwan.

Już ja to biorę na siebie, ja się czarów nie lękam, gdybym tylko wiedział gdzie szukać.

Ołeń.

I to Szmul do tego ma ci być pomocnym?

Iwan.

Tak, bo on wie gdzie pieniądze ukryte i jak go wezmę na stryczek, wyśpiewa mi wszystko.

Ołeń.

Widzę, że jesteś niespokojny, Iwanie. Do licha, niema przecie nic tak gwałtownego.

Iwan.

Nie o to mi idzie, inna sprawa cięży mi na sercu! Wiesz, ta Hania, ta przeklęta wychowanica mego dziadka, dała mi dziś odprawę.

Ołeń.

Tam do djabła, ale to też nie pojmuję, co ci zależy na tej dziewce? Masz dziesięć cudnych piękniejszych, co w ogień skoczyłyby za tobą.

Iwan.

Ach! co mi po nich? Ja pragnę tylko jednej Hani. Wiem, że to głupstwo, szał, ale nie mogę inaczej. Ty tego nie rozumiesz, bo nigdy nie kochałeś.

Ołeń.

Ja, ale gdzie tam nie kochałem! I owszem, kochałem na przykład żonę kościelnego. Baba, co prawda, miała już ze czterdziestkę i na przodzie brakowało jej kilku zębów, ale za to ważyła najmniej ze trzy centnary, i miała już piątego męża. Nie byłbym jej nigdy porzucił, ale kiedy po śmierci piątego chciała mnie za szóstego, a ja się wzbraniałem, rozwaliła mi łeb garnkiem, a ja jej resztę zębów wybiłem i po kochaniu. Potem zaś niedługo zakochałem się w żonie kowala, śliczności kobieta, kulała tylko na jedną nogę i miała już, co prawda, jedenaścioro dzieci, ale można się było spodziewać, że będzie miała jeszcze drugie tyle.

Iwan (oglądając się niespokojnie).

Przestań bajać, Ołenie, mnie dziś nie żarty w głowie.

Ołeń.

Ależ to nie żarty, to najświętsza prawda, powiadam ci, jak została wdową, ma już na nowo pięcioro dzieci. Chcesz, to cię z nią poznajomię.

Iwan.

Dziękuję, nie łakomym na takie specjały.

Ołeń.

Och, to nie wiesz co dobre.

Iwan (niecierpliwie).

Dość tego, posłuchaj mnie.

Ołeń.

Słucham.

Iwan.

Hania kocha innego, dziedzica młodego z Wyżyniec.

Ołeń.

Tam do kata!

Iwan.

Ja na to spokojnie patrzeć nie mogę, mnie ogarnia wściekła zazdrość, postano-

wiłem zatem wykraść ją. Hryćka i Mikołaja z kilku naszymi ukryłem dokoła chaty i czekam teraz skutku wyprawy. Jeżeli czarci sprzyjają mojej sprawie, to dziś zabiorę skarb króla dziadów i dziś Hania będzie moją. Wtedy z nią i z tobą, Ołenie, uciekniemy w świat daleki, hen, daleko od tych stron. Jakże ci się to podoba, Ołenie? pojedziesz ze mną?

Ołeń.

Tak, a kowalowa? gdzież ja drugą taką dostanę?

Iwan.

Głupcze, wszak będziemy bogaci.

Ołeń.

To prawda, a więc zgoda.

Iwan (nadsłuchując).

Pst!... cicho, słychać kroki, to może Hryćko i Mikołajek?

Ołeń (patrzy na lewo).

A tak, to oni.

Iwan (na stronie).

W oczach mi pociemniało a serce bije

jak młotem; doprawdy, wstydzę się samego siebie. (głośno) Czy jest Hania?... zobacz, Ołenie...

Ołeń (jak wyżej).

Zdaje mi się że...

Iwan (żywo).

Jest!

Ołeń.

Niema.

Iwan.

Niema? Kłamiesz, musi być!

Ołeń.

Hryćko i Mikołaj idą ze spuszczonemi głowami — inaczejby mi wracali, gdyby im się udało.

SCENA IV.

Iwan — Ołeń — Hryćko — Mikołaj (i kilku) *Opryszków* (z lewej).

Iwan (gwałtownie).

Cóż? gdzie ona?

Hryćko.

Niema jej.

Iwan (jak wyżej).

Łotry! łby wam roztrzaskam!

Mikołaj.

Robiliśmy co tylko było można.

Hryćko.

Nie nasza wina, że czary powikłały nam sprawę.

Iwan.

Boście głupcy i niedołęgi! Cóż się więc stało? mówcie!

Hryćko.

Po twoim odejściu dziewczyna długo rozmawiała z młodym dziedzicem, trzymali się w objęciach i całowali co chwila.

Iwan (gwałtownie tupiąc nogą).

Kończ!

Hryćko.

Mówię co widziałem. Pożegnali się wreszcie i dziewczyna pozostała samą. Obejrzałem się ostrożnie, dokoła nie było żywej duszy. Dałem znak swoim, po cichu podeszliśmy do dziewczyny, pochwycili za ręce i zatkali gębę. Byłem już pewny swego, aż tu nagle ni stąd ni zowąd ukazał nam się król dziadów.

I w a n.

Do pioruna!

H r y ć k o.

Wyrósł jakby z pod ziemi. „Co się tu dzieje?“ wykrzyknął takim głosem, że aż się ziemia zatrzęsła. Nasi potruchleli ze strachu, puścili dziewczynę i rozpierzchli się na wszystkie strony.

I w a n.

A, przeklęci, wszystko stracone.

O ł e ń.

Nie jeszcze, Iwanie, i to jeszcze na dobre nam wyjdzie.

I w a n.

Ale jak?

O ł e ń (po chwili).

Bo wprzód zabierzemy skarb a potem pomyślimy o dziewczynie. Przy pieniądzach łatwiej nam to będzie, rozumiesz?

I w a n.

Masz słuszność, Ołenie. Byle tylko i z pieniędzmi tak nie poszło jak z Hanią.

Ołeń.

Trzeba to lepiej wykalkulować.

Iwan.

Mykita gotów się upić, zasnąć i przepuścić żyda spokojnie.

Ołeń.

Nie bój się, Mykita na trzeźwo do niczego niezdatny, ale zato po pijanemu przywlecze ci nawet samego czarta z piekła. (podsłuchując) O! czy słyszysz? wracają z krzykiem i z hałasem — widocznie im się udało, mają żyda! (za sceną słychać śmiechy opryszków i krzyk Szmuła).

Mikołaj.

Dobrze się bawią, no, nie zazdroszczę biednemu żydowi.

SCENA V.

Iwan — Ołeń — Hryćko — Mikołaj.

(Mykita i kilku opryszków prowadzą Szmula, popychając go i szturchając wśród śmiechu.)

Mykita.

A pójdźże, niewiaro, nie bój się, nic ci nie będzie, podyndasz sobie na sznurku, ta i tyle!

Szmul (blady, przerażony pada na kolana).

Nu! co jest? czego wi chcecie odemnie? Ja nic nie mam, ja biedny żidek!

Mykita.

Łotr jesteś, szachraju, ta i tyle! żebyś ty nie miał ze sobą jednej kropli wódki?! Odważasz się jeździć bez wódki?! Pójdź na gałąź!

Szmul.

Gwałtu! Ratujcie; oni mnie chcą powiesić. Ja do tego nieprzyzwyczajony, ja sze uduszę!

Iwan.

Mykita, dobrześ się sprawił, dostaniesz sowitą nagrodę.

Mykita.

I owszem, choćby całą baryłkę! Usłuchałem rozkazu i dostawiłem w całości. Szelma borykał się z nami i nie chciał iść w żaden sposób, przyczem zawadziłem jakoś ręką o pejsy i oberwałem mu je niechcący, (pokazuje pejsy i rzuca na ziemię) ale go zaraz bardzo grzecznie przeprosiłem i on dał mi słowo honoru, że się na mnie nie gniewa. (pieszczotliwie) Prawda, Szmulku, (przykręca mu ucho) że się już na mnie nie gniewasz?

S z m u l (krzyczy z bólu).

A waj! gwałt!!!

M y k i t a (pieszczotliwie).

Co? gniewasz się jeszcze? (serjo) pójdź na gałąź!

S z m u l.

Aj! nie, nie, nie gniewam sze, zupełnie sze nie gniewam, tylko mnie puśćcie, moje kochane panowie. Ja wam przecie nic nie winien.

I w a n (siedzi po prawej).

Podajcie go tutaj!

M y k i t a (ciągnie Szmula za kołnierz i rzuca go na ziemę przed Iwanem).

Jest, a teraz dawaj wódki, ta i tyle.

I w a n.

Poczekaj chwilę, Szmul.

S z m u l (podnosi bojaźliwie głowę).

Co ja widzę? To wielmożny pan Iwan! Jasznie oszwiecony królewicz od dziadów! Aj, co za szczęście!

I w a n.

Nie ciesz się przedwcześnie!

S z m ul (mówi nieprzytomnie).

Nu, jasznie pan Iwan nie chce krzywdy biednego Szmula?

I w a n (woła).

Powroza!

S z m u l (jak wyżej).

Aj! na co takie żarty z powrozem? Ja taki delikatny, ja nie wytrzymam.

M y k i t a.

Ha no, spróbujemy, ta i tyle. (zakłada mu stryczek) Jak się udusisz, to cię już drugi raz nie powiesimy.

O ł e ń (surowo).

Gotuj się na śmierć!

S z m u l (przerażony).

Na szmierć!? Co to jest na szmierć? Ja tego nie lubię, to niegrzecznie, ja sze poskarżę.

O ł e ń.

Związać mu ręce!

S z m u l (omdlewająco).

Aj waj! (zaczyna śpiewać modlitwę żydowską, Mikita i Mikołaj wiążą mu w tył ręce)

Mykita.

Śpiewaj, śpiewaj, ptaszyno, dopóki ci gardziołka nie ściśniemy. A bardzo się boisz? Ot, głupstwo, ta i tyle, pójdź na gałąź. (ciągnie go)

Iwan.

Stać! Szmulu, chcesz się wybawić od śmierci?

Szmul (słabym głosem).

O, jasznie panie, zlituj się nad biednym żydkiem.

Iwan.

Odejść wszyscy! (wszyscy prócz Oleni cofają się w głąb do Szmula) Stryczek masz już na szyi; jedno moje skinienie, a zawiśniesz na gałęzi, pamiętaj o tem. A teraz słuchaj — ty wiesz gdzie są ukryte pieniądze króla dziadów?

Szmul.

Jasznie Pan żartuje, skąd ja tego mogę wiedzić?

Iwan (surowo).

Kłamiesz!

Szmul.

Jak sobie szczęścia pragnę.

Iwan (jak wyżej).

Nie wiesz?

Szmul.

Sumiennie mówię wielmożnemu panu co nie.

Iwan (do Olenia).

Brać go!

Szmul (żywo).

Jasznie panie!...

Iwan.

No, powiesz? czy nie?... raz... dwa...

Szmul (do siebie).

Aj waj!... co robicz? co robicz?

Iwan.

No?... trzy!

Szmul (prędko).

Powiem... powiem już, jasznie panie!...

Iwan.

Gadaj, ale prawdę, bo inaczej biada ci!

Szmul.

Prawdę, szwientą prawdę! (płaczliwie) Ale czi potem będzie mi wolno iść do mojej Sziury i szedmioro dzieci?

Iwan.

Bądź spokojny!

Szmul.

Nu, to ja powiem, wszystko powiem, co ja wiem.

Iwan.

Gdzież więc?

Szmul.

W pasiece pod ziemią, w zawalonej piwnicy, gdzie to o północku djabły tańcują ze swojemi żonami.

Iwan.

Dobrze, zobaczymy czy mówisz prawdę? Jeśliś skłamał pożegnasz ten świat. (woła) Hej, zbliżcie się tu wszyscy.

Mykita (żywo).

Czy mam go zawiesić?

Iwan.

Nie trzeba.

Mykita (ze smutkiem).

O! a ja się już tak cieszyłem.

Iwan.

Niech Hryćko wyda jedną baryłkę wódki dla Mykity a drugą dla wszystkich.

W s z y s c y.

Hurra! Niech żyje Iwan. (podrzucają kapelusze)

I w a n.

Teraz idę do wsi, a jeżeli powrócę szczęśliwie, wyprawię wam taką ucztę, jakiej nie pamiętacie od urodzenia.

W s z y s c y.

Hurra!

O ł e ń.

Czy mam ci towarzyszyć?

I w a n.

Nie! pójdę sam.

S z m u l.

Jasznie oszwietlony, wielmożny szanowny panie, a co ze mną będże?

I w a n.

Zaczekasz aż do mego powrotu.

S z m u l (z rozpaczą).

Aj! waj!

I w a n.

Ołenie, czuwaj nad nim. Do widzenia, bracia! (odchodzi na prawo)

W s z y s c y.

Bywaj zdrów, a wracaj rychło i szczęśliwie!

SCENA VI.

Ołeń — Hryćko — Mikołaj — Mykita — kilku Opryszków — Szmul.

(Hryćko i Mikołaj wytaczają z jaskini baryłki.)

Hryćko.

Jest wódka!

Wszyscy.

Wiwat! (biegną do baryłki i napełniają czarki)

Mykita (z radością).

A dawajcież co prędzej — niech się z nią popieszczę! (chwyta baryłkę, przyciska do piersi i całuje) Mam cię nareszcie, mój skarbie! moje życie! Niech się nikt nie waży przerywać mych pieszczot z moją kochanką, bo łeb rozbiję, ta i tyle! (idzie na bok, siada na ziemi i kładzie przy sobie baryłkę)

Ołeń (podnosząc czarkę).

Niech żyją opryszki, niech żyje swoboda!

Wszyscy.

Hurra!

Śpiew nr. 11.

Ołeń (solo) i chór.

Swobodni jak ptacy,
A lasy wokoło
Hej, bracia junacy,
Nam żyć tu wesoło!

Chór.

Hej bracia junacy i t. d.

Ołeń.

Gdy ogień zapłonie,
A piosnka zajęczy,
Krew zadrży nam w łonie,
Aż toporek brzęczy!

Chór.

Krew zadrży nam w łonie i t. d.

Ołeń.

Gdzie pola i jary,
Pędzimy wiek młody.
Hej bracia do czary!
Czekają nas gody.

Chór.

Hej, bracia, do czary i t. d.

Ołeń.

Już skrzypeczki grają,
I pienią się dzbany,
Płomienie tryskają,
Dalejże więc w tany!

Chór.

Już skrzypeczki grają i t. d.

(Po śpiewie ośmiu opryszków z podniesionemi do góry toporkami staje na środku dokoła płonącego ogniska.)

Zbójecki taniec nr. 12. Kołomyjka zbójecka.

(Zasłona spada.)

Obraz IV.

„Bal dziadowski“.

OSOBY:

WASYL HŁADYSZ.
HANIA.
EUGENJUSZ.
IWAN.
SEMEN.
HIERONIM.
IZYDOR.
BAZYLI.
PARASKA.
WYRA.
NIEMOWA.
Żebracy — Żebraczki.

Antrakt muzyki do obrazu IV. Nr. 13.

SCENA I.

(Duża izba, drzwi w głębi, drugie z lewej, dokoła ścian mnóstwo obrazów. Po prawej na przodzie sceny wysokie, drewniane, wyrzynane krzesło, obok niego czarna skrzynia, dalej długi stół i ława, toż samo po prawej.)

Hania — (potem) *Semen.*

(Za podniesieniem kurtyny śpiew Hani solo nr. 14.)

W gaju słowik nuci,
Rzewną piosnkę snuje,
Mnie on nie zasmuci,
Bo raj w sercu czuję. [bis]
Mnie on nie zasmuci,
Bo raj w sercu czuję.

Hania (wbiega wesoło środkiem).

Niema go jeszcze, ale z pewnością niezadługo wróci. Ach, mam mu tyle do opowiedzenia! Wyznałam wszystko dziadkowi i wcale się o to nie rozgniewał, przeciwnie uśmiechnął się łagodnie, pogłaskał mnie po głowie i rzekł: „Dobrze, dobrze, moje kochane dziecię, znam i kocham Eugenjusza, to zacny i szlachetny chłopiec; Bóg wam będzie błogosławił"! Ach, co się

wtenczas ze mną działo, nie potrafię opisać. Skakałam i płakałam z radości. Poczciwy dziadek tak mi dobrze życzy. Czemże ja mu się wywdzięczę? (spogląda w okno) Nie widać go jeszcze, nieznośny nudziarz! Ach, jak ja go kocham! Mógłby już nadejść przecie, szkaradny potwór. O mój drogi Eugenjuszu! Boże! jakżem ja szczęśliwa!

Semen (wchodząc z lewej).

Ho, ho, znać zaraz, że w główce wiosna, a w serduszku kwitnie, bo skowronek śpiewa.

Hania (żywo).

Semenie, poczciwy Semenie, nie widziałeś Eugenjusza?

Semen (z uśmiechem).

O! owszem, widziałem.

Hania.

I nic mi o tem nie mówisz, niedobry! Gdzież jest, gdzie?

Semen.

Niedaleko, nawet bardzo blisko, ot tu. (wskazuje na lewo)

Hania.

Ach, biegnę do niego. (zatrzymuje się) Nie, to niełądnie, nie wypada młodej dziewczynie, bo chociaż to tylko Eugenjusz, ale zawsze młody mężczyzna.

Semen.

Rozkoszne dziecię. (otwiera drzwi z lewej i daje znak ręką)

Hania (poważnie).

Jeżeli ma ochotę, sam tu przyjść powinien. (siada po prawej na ławie) Ja się z miejsca nie ruszę, chociażby stał dwa kroki odemnie.

SCENA II.

Hania — Semen — Eugenjusz (wchodzi z lewej).

Hania (zwraca się, spostrzega Eugenjusza i z krzykiem biegnie ku niemu).

Eugenjusz!!

Eugenjusz.

Haniu! (chwyta ją w objęcia)

Semen (na stronie).

Nie przeszkadzajmy. (wychodzi środkiem)

Hania.

Eugenjuszu, dziadek wie o wszystkiem i daje nam swoje błogosławieństwo! A ty czy mówiłeś swoim rodzicom?

Eugenjusz (ze smutkiem).

Mówiłem.

Hania.

I cóż?

Eugenjusz.

Matka zgadza się z chęcią.

Hania.

A ojciec?

Eugenjusz.

Nie mówmy lepiej o tem.

Hania.

Ależ przeciwnie, trzeba o tem mówić. Cóż więcej ojciec?

Eugenjusz.

Nazwał mnie warjatem i nie chciał nawet wysłuchać mnie do końca.

Hania.

Mój Boże!

Eugenjusz.

Widzisz, Haniu, ojciec chciałby mnie ożenić bogato, a ty jesteś biedną.

Hania.

Mam jedyną pamiątkę po mojej matce, złote kolczyki, sprzedam je.

Eugenjusz (z uśmiechem).

Dziecko, toby nawet nie wystarczyło na cygara dla ojca. Ale nie lękaj się, Haniu, to nas nie rozdzieli, ojciec z czasem da się przebłagać, a wreszcie, cokolwiekbądź by nastąpiło, pamiętaj, że los mój spoczywa w twoim ręku i że ty jedna tylko potrafisz mnie uszczęśliwić.

Hania.

Eugenjuszu! rozrządzaj mną podług woli. Wiesz przecie, że jestem twoją, całem sercem i duszą.

Eugenjusz.

Czy ty wiesz, kto ja jestem?

Hania.

Nie, ale cóż mnie to obchodzi?

Eugenjusz.

Powinnaś jednak wiedzieć, — jestem...

Hania (zatyka mu usta).

Nie, nie, nie mów nic, proszę cię, ja kocham tylko mojego Eugenjusza, a reszta mnie nie obchodzi.

Eugenjusz.

Haniu, czy w sercu swojem nie masz jakiej urazy do kogo?

Hania.

Nie, zapewniam cię.

Eugenjusz.

Pomyśl dobrze, sięgnij pamięcią w dziecięce lata.

Hania (zamyśla się).

Tak, może trochę.. żalu...

Eugenjusz.

A widzisz! — do kogo? powiedz.

Hania.

Do człowieka, który wypędził niewinnie mojego biednego ojca i skazał go na nędzę i tułactwo. — To dziedzic z Wyżyniec!

Eugenjusz.

Czy możesz mu przebaczyć i zapomnieć?

Hania (ze smutkiem).

Mój ojciec umarł...

Eugenjusz.

Haniu, ja jestem jego synem.

Hania (cofając się).

Ty?! ty jesteś Wyżyński?...

Eugenjusz.

Tak, ale syn za grzechy ojca odpowiadać nie może! Haniu, ty nie odtrącisz mnie od siebie?

Hania (na stronie).

O mój Boże! mój Boże!

Eugenjusz.

Nie odpowiadasz mi, Haniu?

Hania (jak wyżej).

I cóż ja ci odpowiedzieć mogę, nieszczęśliwa? Widzę, że napróżno marzyłam o szczęściu.

Eugenjusz.

Jakto? chcesz więc karać mnie za winę ojca?

Hania (żywo).

O nie! byłabym w takim razie niesprawiedliwą. Tyś niewinny i niemniej kocham cię przez to, żeś synem naszego prześladowcy. Ale teraz, kiedy wiem kim jesteś, widzę aż nadto dobrze, że twój ojciec nie zezwoli nigdy na nasz związek. (płacze)

SCENA III.

Hania — Eugenjusz — Iwan.

(Iwan wchodzi głębią, po chwili staje w drzwiach.)

Eugenjusz.

Nie płacz, drogie dziecię, twoje łzy mnie ranią, zaufaj mojemu sercu, zaufaj mojej miłości; one cię nie zawiodą. Przysięgam ci, że zrobię wszystko, co tylko w mocy ludzkiej, aby przełamać przeszkody. Zobaczysz, zobaczysz, Haniu, że wkrótce będziemy szczęśliwi. (pieszczotliwie) No, nie płacz, osusz oczka, spojrz na mnie, uśmiechnij się.

Hania (spogląda na Eugenjusza, uśmiecha się i zarzuca mu rączki na szyję).

Eugenjuszu!

Eugenjusz.

Haniu moja! (całuje ją w czoło)

Iwan (głośno z ironicznym uśmiechem).

Ha! ha! ha! tu się dobrze bawią, jak widzę.

Hania, Eugenjusz (podskakują przestraszeni).

A!...

Iwan (z ironją).

Dobry wieczór państwu. Witam jasnego panicza! — może przeszkadzam?

Eugenjusz.

Czego tu chcesz?

Iwan (jak wyżej).

Ha, ha, dobre pytanie! Wszak tu jest dom mojego dziadka; ja to raczej mógłbym was zapytać, czego tu chcecie, jasny paniczu.

Eugenjusz.

Przyszedłem do starego Wasyla.

Iwan.

Tak? I pod jego nieobecność, aby nie tracić czasu, ściskacie jego wychowanicę?

Eugenjusz (gwałtownie).

Milcz!

Iwan.

Zwolna, zwolna, paniczu, ja się waszej groźnej miny nie przestraszę, jestem tu przecie na swoich śmieciach.

Hania.

Nieprawda, dziadek Wasyl wypędził cię precz z tego domu i zakazał przychodzić.

Iwan.

Chociażby i tak było, zawsze to przecież moja rodzina, chata i po śmierci dziadka zostanie moją własnością. A ten piękny panicz, to obcy zupełnie i zachodzi pokryjomu.

Eugenjusz.

Mylisz się, przyszedłem tu z Semenem.

Iwan.

Ha, ha, piękna mi wymówka, Semen stary oszust, za pieniądze ułatwia ci przystęp.

Eugenjusz.

Łotrze!

Hania (uspakajając).

Eugenjuszu! — Odejdź stąd, Iwanie!

Iwan.

Mam odejść i zostawić cię z nim, samą? Oddać gołąbka w szpony jastrzębiowi? Ależ nieszczęsna, ty nie wiesz, kto on jest. To Wyżyński!

Hania.

Wiem, sam mi to wyznał.

Iwan.

Biedne zaślepione dziecko! I ty go kochasz? ufasz jego słodkim słowom? Ależ oni we krwi mają fałsz i obłudę!

Eugenjusz.

Zamilcz, nędzniku, bo i cierpliwość ma swoje granice.

Hania (do Eugenjusza).

Proszę cię, panuj nad sobą.

Eugenjusz.

Mamże spokojnie słuchać oszczerstw tego niegodziwca?

Iwan.

Oszczerstw? ha! ha! oszczerstw — powiadasz? Widocznie nie wiesz o niczem, paniczu. Utajono prawdę przed tobą, to ja ci oczy otworzę, a przytem i Hania coś skorzysta. Twój ojciec również jak ty przysięgał miłość mojej matce, obiecywał złote góry, aż obałamucił biedną dziewczynę. Zaufała jego przysięgom, jego słodkim słówkom, i dobrze na tem wyszła, ha! ha! niema co mówić. Odepchnął ją potem nikczemnie wraz z dzieckiem i wystawił nieszczęśliwą na nędzę i pośmiewisko ludzkie.

Eugenjusz (zmieszany).

To być nie może.

Iwan.

A jednak tak było. Ona w trzy lata potem umarła i pozostało tylko dziecko, o którem ojciec nawet słyszeć nie chciał. A tym dzieckiem jestem ja! (z ironją) Tak, jasny paniczu, jestem twoim bratem, synem tego samego co i ty ojca! Szlachecka krew płynie w moich żyłach. Ha! ha! ha! nie pochlebia ci takie pokrewieństwo. Bądź spokojny, nie będę się tem chwalił przed ludźmi, bo zresztą dalibóg niema czem.

Eugenjusz (na stronie).

Jakże to boleśnie rumienić się za własnego ojca!

Hania.

Przestań, Iwanie, cóż on temu winien? Dlaczego dręczysz go swojem opowiadaniem?

Iwan.

Ażeby ciebie ochronić od zguby, aby cię przykładem nauczyć, że im ufać nie można.

Hania (żywo).

Próżne twoje słowa, Iwanie, ja kocham i ufam bez granic mojemu Eugenjuszowi. (podaje ręce Eugenjuszowi)

Eugenjusz (całując ją w ręce).

O dzięki, dzięki ci, droga Haniu!

Iwan (ze złością).

Szalona dziewczyno! Kiedy nie chcesz słuchać przestrogi, to ja wbrew twojej zgody obronię cię od zguby.

Hania.

Byłabym ci bardzo wdzięczna, Iwanie, gdybyś mnie zwolnił ze swojej opieki.

Iwan (gwałtownie).

Nigdy! bo pragnę twego szczęścia, bo cię kocham stokroć więcej od tego słodkiego panicza, bo przysiągłem sobie, że nikt inny nie będzie twoim mężem tylko ja! Słyszysz?!

Hania.

Eugenjuszu, chodźmy stąd, ja się lękam tego człowieka.

Iwan (z wzrastającą gwałtownością).

A ty, paniczu, przypomnij sobie, co ci już raz mówiłem. Jestem zazdrosny, wściekle zazdrosny! i każdego, któryby się odważył sięgnąć ręką po moje szczęście, zabiję! zabiję jak psa!

Hania (z przestrachem).

Boże miłosierny!

Eugenjusz.

Cóż to, pogróżki? Strzeż się, nędzniku, bo i mnie może przyjść ochota nakręcenia ci karku!

Iwan (jak wyżej).

Radzę nie próbować, paniczu, boby to dla nas źle skończyć się mogło. (coraz gwałtowniej) Ostrzegam po raz ostatni, nie po-

kazuj się tu więcej, bo jeżeli raz jeszcze zobaczę cię przy Hani, jak Bóg żywy na niebie, zginiesz!

Hania (przerażona).

Eugenjuszu!

Eugenjusz.

Uspokój się, Haniu! nie zważaj na tego szaleńca; on musi być pijany.

Iwan.

Wyzywasz mnie? A, tego już nadto! (dobywa noża) Masz, czegoś chciał! (rzuca się na Eugenjusza i rani go nożem)

Hania.

Jezus Marja! (wbiega w głąb) Ratunku! na pomoc! na pomoc!

SCENA IV.

Hania — *Eugenjusz* — *Iwan* — *Wasyl* — *Semen* (wchodzą).

Wasyl.

Co się stało?

Hania.

Eugenjusz ranny.

S e m e n.

Ranny? (biegnie do Eugenjusza)

E u g e n j u s z.

Nie lękajcie się, nic mi nie będzie.

S e m e n.

Rana nieszkodliwa, wkrótce się zgoi.

E u g e n j u s z.

Cios chybiony!

H a n i a.

Dzięki ci, Boże!

W a s y l.

Semenie, przyłóż gojącej maści!

S e m e n.

Chodźcie, paniczu. (prowadzi Eugenjusza)

H a n i a.

Może mogłabym w czem dopomódz?

S e m e n.

Dobrze, moje dziecię.

(Semen, Eugenjusz, Hania wychodzą na lewo.)

W a s y l (stoi chwilkę niepoznany).

Iwanie, to twoja sprawka, wszak prawda?

Iwan.

Tak.

Wasyl.

Chciałeś go zabić?

Iwan.

Nie inaczej.

Wasyl.

Łotrze, jak śmiałeś podnieść rękę na tego młodzieńca?

Iwan.

Bo przyszedł tu, aby mi zabrać moje szczęście, bo go nienawidzę.

Wasyl.

O jakiemże to szczęściu mówisz, Iwanie?

Iwan.

Pytacie mnie? Wszak wiecie, że kocham Hanię i chcę, aby była moją.

Wasyl.

Jakto, więc ty śmiesz żywić jeszcze jakąkolwiek nadzieję?

Iwan.

Śmiem, bo nie mam już nic do stracenia, a zyskać coś jeszcze mogę.

Wasyl.

Nigdy.

Iwan.

Ha! zobaczymy, ja nie cofnę się przed niczem.

Wasyl.

Próżne wysilenia! Mówiłem ci już kilkakrotnie i powtarzam po raz ostatni, że Hania nigdy twoją nie będzie. Tem więcej, że gardzi tobą, a kocha młodego dziedzica.

Iwan (ze zdumieniem).

Wy o tem wiecie?

Wasyl (spokojnie).

Ja wiem wszystko.

Iwan.

Uszom swoim nie wierzę! Jakto wiecie, że młody Wyżyński zachodzi do Hani, że ona go kocha i pozwalacie na to?

Wasyl (jak wyżej).

Więcej jeszcze, chcę tego.

Iwan.

Sprzyjacie synowi człowieka, który matkę moją, a waszą córkę shańbił i zgubił.

W a s y l.

Taka moja wola.

I w a n.

Pojąć trudno, w głowie mi się miesza! I nie lękacie się, ażeby nie postąpił tak z Hanią, jak ojciec jego niegdyś z moją matką?

W a s y l.

Nie.

I w a n.

Dlaczego?

W a s y l.

Bo znam Eugenjusza.

I w a n.

Ha! ha! możecie się z łatwością zawieść na tem i obciążyć sumienie.

W a s y l.

Nigdy!

I w a n.

Skąd ta pewność?

W a s y l.

W mojem sercu; ono nigdy mnie nie zawodzi. Do ciebie czułem wstręt, kiedy jeszcze byłeś dzieckiem, — dziś zupełnie usprawiedliwiony.

Iwan.

A ja odpłacam wam wzajemnością, tylko że wasza niechęć niesłuszna i niesprawiedliwa, moją zaś wzbudziło wasze postępowanie. Byłem biednym sierotą, nie miałem nikogo na świecie — prócz was — a wy zamiast przygarnąć do swojego serca, zastąpić mi rodziców, odpychaliście mnie ze wstrętem.

Wasyl.

Bo na to zasługiwałeś, — brakiem serca i najgorszemi skłonnościami odstręczyłeś nietylko mnie, ale wszystkich uczciwych ludzi od siebie. Jeżeli mam sobie co do wyrzucenia, to chyba to tylko, że byłem za łagodny dla ciebie, zanadto pobłażałem twoim wybrykom i teraz okazujesz mi nieposłuszeństwo i lekceważenie na każdym kroku. Ale ja tego dłużej znosić już nie myślę, dzisiajszym swoim nikczemnym czynem przebrałeś miarę mojej cierpliwości.

Iwan.

Sądzicie mnie zanadto surowo, bez litości i niesprawiedliwie, jak gdybym nie był waszym wnukiem, a wy moim dziadkiem...

W a s y l (spokojnie).

Bo tak jest w istocie.

I w a n (ze zdumieniem).

Jakto? nie rozumiem.

W a s y l (spokojnie).

Jesteś dla mnie zupełnie obcym i obojętnym. Opuść ten dom raz na zawsze i nie pokazuj mi się nigdy na oczy. Każde twoje przybycie przynosi ze sobą nieszczęście. I dzisiaj, gdyby nie cudowna opatrzność Boska, byłbyś to ciche i pobożne miejsce skalał ohydną zbrodnią.

(Semen wchodzi z lewej)

W a s y l (do Semena).

I cóż?

S e m e n.

Opatrzyłem mu ranę i wysłałem do domu w towarzystwie Sydora i Michała.

W a s y l.

Dobrze.

S e m e n (wskazując Iwana).

Cóż zamierzacie uczynić, ojcze, z tym zbrodniarzem?

Wasyl.

Ukarać go.

Semen.

O, byłby już wielki czas. Za wiele uchodziło mu bezkarnie i to go rozzuchwaliło.

Iwan.

Strzeż się, Semenie, nie draźnij mnie, nie wyzywaj. Zanadto ufasz opiece dziadka, ale i ona nie ochroni cię przed moją zemstą. Mamy ze sobą nie jeden rachunek do załatwienia, i załatwimy go należycie, — zobaczysz.

Semen.

Jestem zupełnie spokojny, — nie lękam się twoich obietnic.

Iwan (gwałtownie).

Byleś się tylko nie przerachował. Ho, ho, za daleko się posuwacie, stare niedołęgi. Hola! cóż to? macie mnie jeszcze za dziecko? nad którem znęcaliście się jak nad bydlęciem! Teraz na mnie kolej. Do djabła! przekonacie się wkrótce, jak wam za wszystko sowicie odpłacę.

Wasyl (spokojnie).

Czekamy.

I w a n (z ironją).

O będę miał dla was więcej litości, aniżeli wy mieliście jej dla mnie, i nie każę wam czekać zbyt długo.

W a s y l (jak wyżej).

Dobrze, a teraz... (wskazuje ręką drzwi)

I w a n (gwałtownie).

Wypędzacie mnie?

W a s y l.

Precz!

I w a n.

Popamiętacie mnie, łotry! (grozi im pięścią i wychodzi)

SCENA 5.

Wasyl — Semen.

S e m e n.

Trzeba się teraz mieć na ostrożności a szczególniej czuwać nad Hanią i Eugenjuszem.

W a s y l (mówi wolno i poważnie).

Bądź spokojny, obmyśliłem już środki po temu — jednym zamachem załatwimy się z Iwanem i pomścimy nad Wyżyńskim; Bóg widocznie sprzyja naszym zamiarom,

dotychczas wszystko wiodło nam się pomyślnie, jeśli tak dalej pójdzie, ziszczą się moje życzenia i będę nareszcie mógł spokojnie dokonać dni mojej starości; Eugenjusza ożenię z Hanią i uczynię swoim zastępcą.

Semen.

A jeśli nie zechce?

Wasyl.

On jest jedynym moim potomkiem.

Semen.

Prawda, ale wychowany w innym świecie, w innych warunkach, wśród innych ludzi. Wierzajcie mi, ojcze, gdyby nawet przystał na to, byłoby to z jego strony wielkiem poświęceniem. Nie wymagajmy od niego wiele.

Wasyl.

Może masz i słuszność, Semenie, ale cóż tu począć?

Semen.

Pozostawić tak rzeczy jak są! Eugenjusz będzie najszczęśliwszy, jeżeli nigdy nie dowie się o swojem pochodzeniu. We dworze wszyscy go kochają i szanują, nikt nie dowie się prawdy, nawet dziedziczka,

widocznie taka wola Boża, nie wyprowadzajmy ich z błędu. Syn Ołeńki będzie bogatym, szanowanym dziedzicem, a ja tego tylko pragnę, żeby on był szczęśliwym, przysiągłem to jego matce.

W a s y l.

Słowa twoje podobają mi się, Semenie, podzielam twoje życzenia, ale w takim razie nie będę miał następcy, a czasby już było zająć się gorliwie tą sprawą. — Jestem stary, bardzo stary i Bóg lada dzień powołać mnie może do siebie; godziny mego życia już są policzone, a ja nie mogę spokojnie oczekiwać śmierci.

S e m e n.

Dzisiaj dzień świętego Bazylego, naszego patrona, może on natchnie was jaką dobrą myślą.

W a s y l (z radością).

A!

S e m e n.

Cóż takiego?

W a s y l.

Już mnie natchnął; dziwię się doprawdy, że mi to zaraz na myśl nie przyszło, mam już następcę!

Semen.

Kogoż to, ojcze?

Wasyl.

Ciebie!

Semen.

Mnie?

Wasyl.

Tak — zgadzasz się na to, Semenie?

Semen.

Ojcze, czyż ja godzien jestem?

Wasyl (kładzie mu rękę na ramieniu).

O, niewątpliwie! choćbym ze świecą przeszukał całą okolicę, nie znalazłbym człowieka godniejszego nad ciebie, zgoda?

Semen.

Jeżeli taka wasza wola, ojcze, będę posłusznym.

Wasyl.

Dzięki Bogu. (ściska Semena)

Semen (z radością).

Eugenjusz więc — nigdy nie dowie się o swojem pochodzeniu?

Wasyl.

Nigdy!

Semen.

I my pomożemy mu do oczyszczenia z długów majątku — nieprawdaż?

Wasyl.

Tak, ale zapominasz, że stary Wyżyński jeszcze żyje — i o nim najprzód pomyśleć nam trzeba.

Semen.

To prawda. Ale, czy wiecie, ojcze, że od jakiegoś czasu on kręci się koło naszej chaty?

Wasyl.

Wyżyński? gdzie go widziałeś?

Semen.

Opodal pasieki.

Wasyl (z radością).

Opodal pasieki? doskonale, wiem czego szuka.

Semen.

I czegóż to?

Wasyl.

Moich pieniędzy,

Semen (ze zdumieniem).

A skądże wie, że ukryte?

Wasyl.

Przed kilkunastu laty żądał odemnie pożyczki, zaprowadziłem go wtedy do piwnicy i tam wypłaciłem żądaną sumę, a gdy później poszedłem do dworu żądać zwrotu pieniędzy, wyparł się nikczemnie i wyrzucił mnie za drzwi. — Ale ptaszek sam złapie się w sidła. Semenie, czuwaj nad nim, ale tak ostrożnie, żeby się nie spłoszył, a jak tylko wejdzie do piwnicy, daj mi znać natychmiast.

Semen.

Dobrze, ojcze.

Wasyl.

A tymczasem przygotuj stoły i przynieś wódkę i chleb, bo już mrok zapada i nasi wkrótce zaczną się schodzić.

(Semen nakrywa stoły, stawia chleb, ser, dzbany i zapala świece.)

Wasyl (staje przy oknie po lewej i otwiera je — do siebie).

Dzień był piękny, ale noc będzie burzliwa, powietrze duszne i parne, słychać

już nawet gromy w oddali. Czas sprzyjający zbrodniom i występkom. (zamyśla się) Jestem niespokojny, przeczucie jakieś ostrzega mnie o niebezpieczeństwie, spotka mnie coś bardzo ważnego w mem życiu. Boże Wszechmocny! Stworzycielu świata, chroń mnie od złego, dozwól łaskawie włos mój biały zanieść do grobu, czystym i nieskalanym. (zdejmuje z szyi różaniec, całuje i szepce pacierz)

Semen (zbliża się ku przodowi i patrzy na modlącego się Wasyla, do siebie).

Ile razy staje w oknie i odmawia pacierze, ma przeczucie zbliżającego się nieszczęścia, a przeczucie nigdy go nie myli! Widocznie i teraz nad naszemi głowami zawisła czarna chmura. (żegna się i składa ręce do modlitwy, muzyka pianissimo zaczyna grać marsza, naśladując głos liry, po chwili za sceną słychać głosy)

Wasyl.

Semenie! nasi już idą. Słyszę ich głosy, czy wszystko gotowe?

Semen.

Wszystko, ojcze.

Wasyl (siada na krześle po lewej).

Podaj mi laskę i torby. (które Wasyl przewiesza przez ramiona na krzyż, laskę trzymając w ręku) A teraz idź do pasieki i czuwaj pilnie.

Semen.

Dobrze, ojcze! (wychodzi na lewo)

Nr. 15. Pochód dziadów.

SCENA VI.

Wasyl — Żebracy.

(Muzyka forte gra marsza, głębią wchodzą żebracy, mężczyźni i kobiety, kilku prowadzi starców, kulawi, ślepi i różnego rodzaju kaleki, postępują zwolna jedno za drugiem pojedyńczo, każdy z mężczyzn przystępuje do Wasyla, klęka, całuje go w kolano, wydobywa z torby pieniądze i wsypuje do skrzynki. Wasyl starszych i poważniejszych całuje w głowę, innym kładzie ręce, kobiety pozostają w głębi.)

Wasyl (po skończonej ceremonji).

Witajcie, mili bracia.

Wszyscy.

Bóg z wami, ojcze Wasylu.

Wasyl.

Jakże wam się wiodło w tym roku?

Hieronim (poważny starzec).

Jak komu, ojcze kochany, nam nędznym starcom, spokojnie odmawiającym paciorek, rzadko kto rzuci grosik jałmużny; fałszywi żebracy obfitsze zbierają plony.

Izydor (kulawy, mina zuchwała, twarz mocno czerwona).

Czy to przymówka do mnie? A któż wam winien? nie umiecie sobie poradzić?

Wasyl.

Tylko zgodnie, bracia, zgodnie! Posłuchajcie — jutro — wielki odpust w Niżyńcach, postarałem się o to, ażeby nikomu obcemu nie wolno było żebrać, tylko wam, ale przedewszystkiem pamiętajcie, ażeby żaden się nie upił.

Izydor.

O mnie możecie być spokojni, ojcze, ja nigdy nie piję.

Wyra (młody bez ręki i o kuli).

Chyba wódkę.

Izydor.

Tak, ale to rzadko kiedy.

Wyra.

Trzydzieści razy na dzień.

Izydor.

Tak, to jeszcze nie zawsze.

Wyra.

Czasem więcej.

Izydor.

Jeżeli dzień dłuższy.

Wasyl.

Hieronimie, podajcie mi dzban i czarkę. (Hieronim podaje, Wasyl napełnia czarę) Za wasze zdrowie, bracia!

Wszyscy.

Szczęść Boże!

(Wasyl podaje czarkę i dzban Hieronimowi, który pije i podaje Izydorowi i t. d. — dzban krąży do koła.)

Izydor (podnosząc czarkę).

Niech żyje nasz ojciec Wasyl, niech żyje król dziadów!

Wszyscy.

Niech żyje!

Śpiew nr. 16. Śpiew dziadowski.

Chór.

Żyj nam, królu, żyj szczęśliwy!
Niech ci łaska Boża świeci
I otacza włos twój siwy
Czcią, miłością wdzięcznych dzieci. [bis]

Ty nam, ojcze, ducha krzepisz,
Czynem dobry przykład dajesz,
W serca młode cnotę krzepisz
I w obronie biednych stajesz. [bis]

Za twą pieczę, co nas strzeże,
Niech ci szczęście wieniec splata,
Serca nasze przyjm w ofierze,
Żyj nam, żyj nam w długie lata. [bis]

Wasyl (po śpiewie).

Bóg wam zapłać, ale, moi kochani, człowiek na tym świecie nie wieczny, a cóż dopiero taki starzec jak ja, stojący nad grobem. Kto wie, czy dzisiaj już nie po raz ostatni obchodzimy razem dzień naszego patrona.

Hieronim (z żalem).

Och, nie mówcie tego, ojcze.

Wszyscy.

Wy nas nigdy nie opuścicie.

Hieronim (jak wyżej).

A któżby nam ciebie zastąpił?

Wasyl.

Myślałem o tem i znalazłem człowieka godnego, który wam będzie ojcem; znacie go wszyscy, kochacie, i będziecie zadowoleni.

Hieronim.

Któż to taki?

W s z y s c y.

Kto? kto?

W a s y l.

Semen.

W s z y s c y.

Semen?

W a s y l.

Nieprawdaż, że wybór szczęśliwy? i że mu wszyscy radzi będziecie?

H i e r o n i m.

Tak, ojcze, po tobie jego wszyscy najwięcej kochamy i szanujemy.

W s z y s c y.

Tak, tak.

I z y d o r.

Niech żyje Semen!

W s z y s c y.

Niech żyje!

W a s y l.

Chwałaż ci, panie! ciężki kamień spadł mi z piersi. — A teraz — siadajcie i pijcie i pożywajcie co Bóg dał. (wszyscy siadają przy stołach)

SCENA VII.

Wasyl — Izydor — Hieronim — Żebracy — Semen (wbiega żywo i przystępuje do Wasyla).

Semen.

Ojcze Wasylu, pójdźcie, Wyżyński jest w pasiece, widziałem go na własne oczy.

Wasyl.

Dobrze, zapal co żywo latarnię i czekaj na mnie w ogrodzie. (Semen wybiega głębią) Bawcie się ochoczo, moi bracia, i nie żałujcie sobie niczego, bo to dzisiaj wasz dzień, pozostawiam wam zupełną swobodę. (bierze kapelusz)

Hieronim.

Jakto, odchodzicie, ojcze?

Wasyl (idzie ku drzwiom).

W ważnej, bardzo ważnej sprawie! Hieronim niechaj będzie przewodnikiem zabawy.

Hieronim.

Jak wasza wola, ojcze.

Wasyl.

Bóg z wami. (wychodzi głębią)

Wszyscy.

Wracajcie z Bogiem.

SCENA VIII.

Hieronim — Izydor — Wyra — Paraska — Niemowa — Żebracy — Żebraczki.

Izydor.

Widzieliście wy, bracia, jaką kupę pieniędzy wsypał do skrzyni ten obmierzły niemowa?

Wyra.

A jakże! gdzie on się tak obłowił?

Izydor.

Hej, niemowa, chodźno tutaj, ptaszku.

(Niemowa, młody chłopak o chytrem spojrzeniu zbliża się do Izydora.)

Izydor.

Jakimże ty cudem potrafiłeś zebrać tyle pieniędzy? hę? gadaj!

(Niemowa pokazuje na migi, że mówić nie może i że chce pić.)

Izydor.

Ha, ha, nie może mówić, pił jeszcze za mało. (daje mu czarkę) Masz, dolej sobie.

Niemowa (wypija duszkiem czarkę i mówi) Jakim cudem? — do djabła! bardzo prostym! Wiecie przecie, że niemowa zawsze budzi wstręt w ludziach, boją się go. Otóż ja korzystam z tego. Przyczepiam się do pierwszego z brzegu człowieka, zaczynam wyć, wykrzywiać gębą, rękami i nogami, aż zniecierpliwiony poczciwiec, aby się tylko odczepić od niego, daje mi kilka groszy. Ten sposób zawsze się udaje.

Izydor (wybucha śmiechem).

Dobry sposób, niech cię czarci porwą, muszę i ja go spróbować, bo ta przeklęta kula już mi się uprzykrzyła.

Wyra (do niemowy).

I któż cię to tego nauczył, he?

Niemowa.

A któżby, jeśli nie Paraska?

Paraska (wielka, brzydka baba z wykręconą ręką i kulawa na jedną nogę, zbliża się ku przodowi).

Hę? a czego tam?

Izydor.

Hm, do licha! — a jakże ty wyglądasz, stara czarownico?

Wyra (śmiejąc się).

Ślicznie, niema co gadać.

Paraska.

Głupiś, to tylko tak z wierzchu, spytaj się niemowy.

Wyra (jak wyżej).

He, he, to niemowa teraz się tobą opiekuje?

Izydor (śmiejąc się).

A niechże mu będzie na zdrowie!

Wszyscy.

Dobrana para!

Izydor.

Wiecie co, bracia? kiedy się tak kochają, to wyprawmy im dzisiaj zrękowiny! Mamy gdzie hulać, jeść i pić po uszy; lepsza okazya nigdy nam się nie zdarzy.

Wszyscy (krzyczą, śmiejąc się głośno).

Zgoda, zgoda, niech żyje piękna para!

Śpiew nr. 17.

Chór (śpiewa przez nos).

(muzyka humorystyczna, fagot i oboa dominują)

Dzisiaj świętego Bazyla,
Zewsząd ściągają dziady
Do chaty króla Wasyla, } bis
By zasiąść do biesiady. }

Aj, dzień to dla nas wesoły,
Jedyny w całym roku;
Jest wódka i pełne stoły, } bis
Nie braknie nam obroku. }

W dzień dziadek pacierze klepie,
Na Bożą śpiewa chwałę,
Wieczorem zaś wódkę chlepie } bis
I skacze pod powałę. }

Wnet ślepy przejrzy na oczy,
W kąt szczudło i różaniec,
Kulawy raźno podskoczy, } bis
Hej, dziady! dalej w taniec. }

Taniec dziadów nr. 18.

(Po śpiewie muzyka gra skocznego marsza, wszyscy rzucają nagle kule, szczudła, z początku tańczą rodzaj kadryla, mężczyźni po prawej, kobiety po lewej, później chwytają się w pary i wirują do koła sceny wśród śmiechów i krzyków.)

(Zasłona spada.)

Antrakt muzyki nr. 19.

Obraz V.

„W podziemiu“.

OSOBY.

IGNACY WYŻYŃSKI.
WASYL HŁADYSZ.
IWAN.
SEMEN.

SCENA I.

(Scena przedstawia starą piwnicę, pełną gruzu i chrustów. W głębi wązki, nizki otwór zasypany rumowiskiem, stanowi wejście z lewej, pod sklepieniem znaczny nasyp kamieni. Za podniesieniem zasłony zupełnie na scenie ciemno.)

(Melodram)

Ignacy (ukazuje się w głębi w otworze z latarką w ręku, idzie zwolna i ostrożnie, oglądając się bezustannie z trwogą).

Piekielna wyprawa! Można ją życiem przypłacić... Jak tu straszno i zimno... krew w żyłach lodem się ścina.. Czy to tutaj?... nie mogę sobie przypomnieć... ale tak, to w tej pieczarze... Ciemno... ta latarnia za słabo oświeca... Czy mnie tylko kto nie widział? Powiadają, że stary Wasyl wie zawsze o wszystkiem, że przed nim nic się nie ukryje. Jeżeli wie, że tu jestem? to okropne!... ale nie, cóż znowu?... to bajki, wierutne bajki, Wasyl jest zwyczajnym człowiekiem jak i inni, tylko głupi ciemny lud przypisuje mu jakieś nadzwyczajne przymioty. Pst... zdaje mi się, że słyszę kroki? (nadsłuchuje) nie, cicho i spokojnie jak w grobie, brrr... straszne położenie. Trzeba doprawdy być szaleńcem, aby

się odważyć na podobną wyprawę. Ale zapóźno już cofać się z połowy drogi... dalej, naprzód, szukajmy z tej strony. (zwraca się ku lewej, nagle wydaje krzyk przestrachu) Kto tu? przyświeca latarką. Nie... niema nikogo, to gra rozgorączkowanej wyobraźni! Tu rzeczywiście zmysły można postradać! nic nie widzę! nic nie widzę!... drżę cały jak w febrze!... (przeciera czoło dłonią i drżąco wyciąga rękę z latarką przed siebie) Gdybym sobie jako mógł przypomnieć w której to było stronie?... (patrzy na prawo) Tu niema... a może zakopane?... Ach, coś jak przez sen, przypominam sobie, duży nasyp kamieni! tak, tak... Wasyl odrzucał je na bok, jeden nawet potoczył się ku mnie i skaleczył mi nogę. Tak, tak, nie mylę się, chociaż to już tak dawno. Zobaczymy zatem po drugiej stronie. (idzie na lewo — nagle zatrzymuje się przestraszony) Pst... teraz to już nie złudzenie!... słyszałem dokładnie... szelest spadających kamieni, jak gdyby kto opuszczał się otworem do pieczary, miejmy się na ostrożności! (dobywa pistolet, po chwili) Nic się nie rusza, może to wiatr poruszył kamyki? Na dworze szaleje burza!... tak, nic innego to wiatr... Szukajmy dalej... ach! tu są kamienie!...

(klęka i stawia obok latarkę) Więc to tu z pewnością. (odrzuca kamienie na bok z wielkim trudem Jakiż to ciężar! nie wiem, czy podołam tak mozolnej pracy. Ale trudno, konieczność skały łamie; obrzydłe kamienie ręce mi kaleczą. (oddycha ciężko) U u... siły mnie opuszczają; w życiu swojem nigdy jeszcze tak ciężko nie pracowałem. (odkłada dalej kamienie po cichu i ostrożnie)

SCENA II.

Ignacy — Iwan.

Iwan (ukazuje się w otworze z latarką w ręku, powoli, ostrożnie posuwa się naprzód).

Jestem wreszcie na miejscu. Ludzie mieli słuszność; to prawdziwe siedlisko czartów i złych duchów. Po północy nie odważyłbym się wejść tu za żadne skarby świata. (posuwa się w głąb na prawo) Ach, gdyby mi się udało znaleźć pieniądze Wasyla, umknąłbym stąd daleko, a po jakimś czasie wrócił niespodzianie do wsi, zabrał Hanię i podpalił chatę dziada na wszystkie cztery rogi. Ha, ha, byłby to żarcik nielada! Aż mi się serce raduje, gdy o tem pomyślę. (szuka)

Ignacy (odpoczywa strudzony).

No, jeżeli wybrnę szczęśliwie z tego

wszystkiego, długo będę pamiętał dzisiajszą łaźnię. Czego to człowiek nie zrobi dla pieniędzy! Ach, coś się pokazuje, coś czarnego... jak gdyby skrzynka. (odwala żwawo kamienie i chwyta w rękę trupią czaszkę z przestrachem) A to co? trupia głowa! do licha, niemiły prognostyk. (odrzuca)

Iwan.

Ani śladu nawet odnaleźć nie mogę. Stary lis dobrze ukrył swoje skarby.

Ignacy (z radością).

Jest skrzynka! (wydobywa czarną, okutą, żelazną skrzynkę) Ależ jaka ciężka! nie uniosę jej. Co tu robić? Gdybym przynajmniej mógł się wydobyć z tej przeklętej jaskini. (wstaje i stara się podnieść skrzynkę)

Melodram nr. 20.

Iwan.

Szukajmy w innej stronie. (zwraca się na lewo, Ignacy w tej chwili zwraca się na prawo, spostrzegają się nawzajem i wydają okrzyk przestrachu)

Muzyka nr. 20.

Ignacy, Iwan (razem).

Kto tu!?

(Iwan dobywa noża, Ignacy pistolet.)

Iwan.

Semen?

Ignacy.

Wasyl? Jestem zgubiony!

Iwan (przyświeca latarką).

Ach, to Wyżyński!

Ignacy (z przerażeniem).

Poznał mnie. (strzela)

Iwan (chwyta się za pierś, wydając okrzyk).

A!... (pada na ziemię) Mój ojciec! ginę z ręki ojca!

Ignacy.

Co on mówi? (zbliża się do Iwana) To nie Wasyl! Któż ty jesteś, człowieku?

Iwan.

Dziecko... Ołeńki... twój syn.. I...wan. (umiera)

Ignacy (zrywa się przerażony i odrzuca pistolet).

Dziecko Ołeńki?... Iwan?... mój syn?... (na wpół nieprzytomnie) Zabiłem syna... oboje, oboje zabiłem... matkę i dziecko!... To straszne!... w oczach mi pociemniało... co się ze mną dzieje... To sen, okropny sen! (przeciera dło-

nią czoło) Gdzież ja jestem? Jaskinia... piekielna jaskinia... Iwan zabity!... mój syn... pieniądze! mam zabrać pieniądze... gdzież one? a... są. Uciekajmy stąd... uciekajmy. (ciągnie skrzynkę ku otworowi)

SCENA III.

Ignacy — Wasyl — Semen.

(otworem w głębi wchodzi Semen z latarką w ręku, za nim Wasyl)

Wasyl.

Cóż to ja widzę? Jasny pan tutaj? Witam, witam jasnego pana, już to poraz drugi spotykamy się w tem miejscu.

Ignacy.

Wasyl?

Wasyl.

A tak, to ja! Wasyl, panie Wyżyński. Niemiłe spotkanie, wszak prawda? A cóż, wydobyłeś pan już skrzynię? ciężka? Sądzisz, że tam są pieniądze? Nie trudź się napróżno, tam są tylko zwyczajne kamienie. Wiedziałem, że tu przyjdziesz i przygotowałem się na godne przyjęcie tak zacnego pana.

Ignacy (z rozpaczą).

Puszczajcie mnie! (chce wyjść)

Wasyl.

Zwolna, zwolna, panie Wyżyński, mamy ze sobą wiele dawnych rachunków do załatwienia.

Ignacy (jak wyżej).

Dobrze, zrobię wszystko co chcesz, tylko wypuść mnie z tej przeklętej pieczary; ja tu dłużej zostać nie mogę.

Wasyl.

Nie wypuszczę, złapałem cię na gorącym uczynku jak prostego złodzieja i oddam pod sąd.

Ignacy (z przerażeniem).

Pod sąd? mnie, Wyżyńskiego? Ja mam stawać przed sądem, jako złodziej? Nigdy, nigdy! nie przeżyłbym takiej hańby! Ach, głowa mi pęka! (do Wasyla) Litości! litości, starcze. Wyrządziłem ci wiele złego, ale przebacz, przebacz mi i wypuść stąd — przez Boga!

Wasyl.

Nie, długo czekałem tej chwili i teraz

miałbym cię wypuścić stąd swobodnie? O nie! wybiła dla ciebie godzina pokuty. Czy sądzisz, że można być łotrem, okradać uczciwych ludzi, hańbić im dzieci, pastwić się nad słabym i bezbronnym, lekceważyć moc Boga, i że to wszystko ujdzie bezkarnie? A gdzież byłaby sprawiedliwość? Wcześniej czy później każdy otrzyma to na co zasłużył.

Ignacy (na wpół nieprzytomnie).

O tak, tak, masz słuszność, Wasylu, jestem łotrem, jestem nikczemnym człowiekiem, ale ulituj się nademną, ulituj się nad moją rozpaczą. Nie kalaj mego nazwiska, ja mam rodzinę, ja mam syna!

Wasyl.

Nie troszcz się o syna, jego twoja hańba nie dotknie.

Ignacy.

Co za noc okropna! tyle nieszczęść naraz! Ach! głowa... głowa mi pęka! powietrza! powietrza! Przez litość, wyprowadźcie mnie stąd!

Wasyl.

Nie, pozostaniesz tu przez całą noc aż do rana!

Ignacy (z przerażeniem).

Przez całą noc tu... przy jego trupie?

Semen.

Co on mówi?

Wasyl.

Nie rozumiem.

Semen (spostrzega Iwana).

A!!!

Wasyl

Co się stało?

Semen.

Tu leży jakiś człowiek. (zbliża się do Iwana i przyświeca latarką) Iwan!

Wasyl.

Iwan? (klęka przy nim i kładzie ręce na piersi) Nie żyje!

Ignacy (nieprzytomnie).

Iwan... nie żyje — zabiłem go...

Wasyl.

Nieszczęśliwy! to był twój syn!

Ignacy (jak wyżej).

Syn.. nie... Eugenjusz mój syn.

Wasyl.

Eugenjusz jest dzieckiem mojej córki Ołeńki, twojej kochanki. Mamka zamieniła dzieci jeszcze w kołysce. Nieszczęsny człowieku, zabiłeś swego prawowitego syna!

Ignacy (wydaje przeraźliwy okrzyk i chwyta się za głowę).

A! (zatacza się, stoi chwilę nieruchomo, poczem podnosi głowę, patrzy dokoła obłąkanym wzrokiem i wybucha śmiechem) Ha! ha, ha, ha!

Wasyl (z przestrachem).

Co to znaczy?

Ignacy.

Precz, hołoto! Sądzicie, że ja nie mam pieniędzy? Zapłacę! wszystko zapłacę, do krocset djabłów! (ujmuje się pod boki) bo Wyżyński jest Wyżyńskim, pan panem i basta. Ha! ha! ha!

Wasyl (jak wyżej).

Semenie!

Semen.

Mówi nieprzytomnie.

Wasyl (do Wyżyńskiego).

Panie, przyjdźże do siebie.

Ignacy.

Ach, bo Wasyl powiada... ha, ha, ha, że Iwan to Eugenjusz, ale co tam! pan zawsze panem i basta! Nieprawdaż, panie bracie? ha! ha! ha! (zawiesza się na szyi Wasyla)

Melodram nr. 21 do końca.

Wasyl.

Boże miłosierny! on postradał zmysły.

(Zasłona spada.)

Antrakt muzyki do obrazu VI nr. 22.

Obraz VI.

„Podarunek ślubny".

OSOBY:

WASYL HŁADYSZ.
HANIA.
EUGENJUSZ.
MAJOR.
ZOFJA.
SEMEN.
SZMUL.
MARCIN.
IZYDOR.
MICHAŁ.
PRAKSEDA.
BŁAŻEJ.
MAREK.
JÓZEF.
Goście — Wieśniacy — Wieśniaczki.

SCENA I.

(Wolna okolica, w głębi dwór, przed nim taras, otoczony balustradą. Po prawej i po lewej drzewa i kwiaty. Na przodzie, po bokach i na tarasie stoły zastawione napojami i ciastami, przybrane w kwiaty. Za podniesieniem zasłony dziewczęta i chłopcy ubierają balustradę wieńcami.)

Marcin — Michał — Chłopcy i Dziewczęta.

Śpiew nr. 23.

Chór.

Strojmy w wieńce, strojmy w kwiaty,
Na przyjęcie młodej pary,
Wszędzie róże i bławaty, } bis
Jak w bukiecie zamek stary. }

Bo do zamku dzisiaj wchodzą
Nowi państwo, nowe życie,
Trud nam sercem wynagrodzą, } bis
Trza ich przyjąć należycie. }

Z pośród mroku i chmur cieni
Dziś się słonko wynurzyło!
Nie żałujmy róż, zieleni, } bis
By jak w raju pięknie było. }

Marcin (w świątecznym ubiorze krząta się żwawo po scenie, — po śpiewie).

A prędzej, prędzejże, niedołęgi! Zoba-

czycie, że się spóźnimy z robotą. (do Michała, który przybija wieniec nad drzwiami) I cóż, ty gamoniu, do kroćset potrzaskanych armat, nie skończyłeś jeszcze? Djabli cię nadali, tłuczesz się i tłuczesz od godziny, a robota nic nie postępuje.

Michał.

Ale, zaraz, o, przecież nie mogę przybić byle jak, jeszczeby potem komu na łeb zleciało i byłaby ładna historja.

Marcin (do służącego, który wnosi dwa talerze z ciastami).

Dawaj, dawaj prędzej, a sam wracaj po resztę.

Służący (upuszcza jeden talerz).

A bodajby cię kule rozszarpały, ciemięgo! (odbiera od służącego drugi talerz) Jak można być takim niezdarą? (upuszcza talerz) Masz tobie, do licha, to już widocznie jakieś nieszczęście! (do służącego) Pozbieraj i przynieś inne talerze.

Michał (schodzi na dół i zabiera drabinkę).

No, już skończyłem. A co, nie ładnie? Spojrzyjcie jeno, panie Marcinie.

Marcin.

Dobrze, już dobrze, a teraz pomóż dziewczętom, bo się te gęsi do jutra nie wygrzebią.

SCENA II.

Marcin — Michał — Chłopcy — Dziewczęta — Szmul.

Szmul (wchodzi z prawej, kłaniając się pokornie do samej ziemi).

Kłaniam, kłaniam panu Marcinowi.

Marcin.

Jest! ten tu także potrzebny. Wynoś mi się, Judaszu!

Szmul.

Nu, niech sze pan Marcin nie gniewa, jabym sze chciał tylko zapitacz o cosz.

Marcin.

Nie mam czasu, ruszaj sobie!

Szmul.

Nu, ja mam dla pana coś bardzo ładnego, (całuje dwa palce) coś pikies fajn!

Marcin (zainteresowany).

Pikies fajn, powiadasz? (odwraca się) Ale co mnie to obchodzi? Przyjdź kiedyindziej.

(Szmul wydobywa srebrną tabakierkę.)

Marcin (po chwili).

No i cóż to jest takiego? pokaż no.

Szmul.

Jak sze panu podoba ta tabakierka?

Marcin (oglądając się).

A niema co mówić, ładna, bardzo ładna, ale, ja nie mam pieniędzy.

Szmul.

Ja nie chcę pieniędzy.

Marcin.

Nie chcesz pieniędzy?

Szmul.

Ja to przyniósł na prezent dla kochanego pana Marcina.

Marcin.

Na prezent, powiadasz? A, to bardzo ładnie z twojej strony. (chowa tabakierkę do kieszeni) Dziękuję; no i cóż to chciałeś?

Szmul.

Nu, ja chciałbym sze widziecz z panem dżedżycem.

Marcin.

Z młodszym?

Szmul.

Nie, ze starszym, z wielmożnym panem Ignacem.

Marcin (zdumiony).

A to poco?

Szmul.

Chciałbym sze zapitacz o niektóre rzeczy.

Marcin (ze śmiechem).

He, he, dużobyś się od niego dowiedział; na wszystkie pytania odpowiadałby ci to jedno: Wyżyński jest Wyżyńskim, pan panem i basta.

Szmul.

Aj waj, to z nim tak źle?

Marcin.

Cóż, to do krocset nie wiesz, że ma pomieszanie zmysłów?

Szmul.

Nie, ludzie mówią, że od czasu, jak jasznie pan zastrzelił z pistoletu tego zbója Iwana, to jemu cosz szę w głowie do góry nogami wywrócziło, ale ja nie wiedział, co

tak źle. Aj waj, a co będzie z mojemi pieniędzmi?

Marcin (macha ręką).

Oho!

Szmul.

Nu, jakto oho? Za co ja mam bicz stratny na tem, że sobie jasny pan pomieszał w głowie? Jak brał odemnie pieniądze, to un nie był jeszcze pomieszany.

Marcin.

Ha, cóż robić, to już twoje takie nieszczęście.

Szmul.

A młody dżedżyc?

Marcin.

Pan Eugenjusz?

Szmul.

To taki uczciwy człowiek z honorem, onby nie zapłacził?

Marcin.

Ha! kto wie, jeżeli masz dowody w papierach?

Szmul.

Nu, za co nie? mam przy sobie nawet. (dobywa papiery) Możeby pan Marcin był taki grzeczny i pokazał młodemu panu?

Marcin.

Teraz napróżno, chyba później.

Szmul.

A czemu nie teraz?

Marcin.

Wiesz przecież, że stary zupełnie zmarnował majątek i biedne młode panisko będzie musiał dobrze nałamać głowy, zaczem wybrnie z kłopotów i to jeszcze kto wie?

Szmul (mruga oczyma).

Pan Marcin chyba żartuje, a od czego król dżadów?

Marcin.

A cóż on tu ma do rzeczy?

Szmul.

Jakto co? Przecie pan Eugenjusz żeni się z jego wychowanicą, a wun jest bardzo bogaty i niema dżeciów.

Marcin.

I cóż ztąd?

Szmul.

To wun da taki posag, co szie w ten cały dwór nie zmieszczi.

Marcin.

Bredzisz, bredzisz, kochanie.

Szmul.

Nu, pan sze przekona, co ja mam recht. Na moje sumienie, już ja wiem co mówię.

Marcin.

Ba, gdyby tak było w istocie!

Szmul.

Musi bycz! Niech tylko pan Marczin pamięta o biednym Szmulu, to ja jeszcze co ładnego dołożę, na ten przykład zegarek taki, co chodżi lepiej jak słońce i sam pokazuje godziny.

Marcin (zamyślając się do siebie).

Kto wie, a może to i prawda.

Szmul.

Nu, co będże?

Marcin.

Dobrze, już dobrze, będę pamiętał, ale wynoś się co prędzej, bo mnie czeka jeszcze dużo roboty.

Szmul (wychodząc).

Kłaniam się z głową kochanemu panu Marczinowi.

Marcin.

Bywaj zdrów.

Szmul (powraca).

Jak dostanę moje pieniądze, to do zegarka przypnę jeszcze łańcuszek, niech ja stracę. Kłaniam!

Marcin.

Do widzenia, do widzenia. (do dziewcząt) Cóż to, jeszczeście nie skończyły? a niech że was kule biją!

Michał (przywięzując wieniec do balustrady).

Już, już, tylko jeszcze to trzeba przywiązać ot, tak i już gotowe. (dziewczęta i chłopcy odchodzą na lewo)

Michał.

Rychło państwo przyjadą?

Marcin.

Tylko co ich nie widać; już dawno musi być po ślubie.

Michał (wskazując na lewo).

A ot i cała wieś tu idzie.

Marcin.

Wyjdź na drogę i daj znak jak będą jechali.

Michał.

Dobrze! (wybiega na prawo)

SCENA III.

Marcin — (z lewej wchodzą) *Błażej* — *Marek* — *Poważni kmiecie* (niosą chleb i sól) — *Sydor* — *Prakseda* — *Wieśniacy* — *Wieśniaczki* (wszyscy w świątecznych strojach).

Błażej.

Niech będzie pochwalony!

Marcin.

Na wieki wieków.

Błażej.

Przychodzimy z życzeniami dla młodego państwa.

Marcin.

Dobrze, moi przyjaciele, poczekajcie chwilkę — zaraz państwo przyjadą. Jak się masz, Sydorze? O, tam do licha! wyglądasz mi coś mizernie a i twoja Prakseda nie lepiej; cóż to znaczy?

Prakseda.

Widzicie, panie Marcinie, ojciec Sydora nie pozwala mu żenić się ze mną.

Marcin.

Nie pozwala? dlaczego?

Prakseda.

Bom biedna.

Marcin.

O! do krocset podziurawionych trzewików, Błażeju, to nieładnie.

Błażej.

Panie Marcinie, u mnie nie jeden Sydor w chacie, jest tam jeszcze sześcioro drobnych dzieci.

Marcin.

A jak wam chłopak zmarnieje, he? co wtedy?

Błażej.

Ej, coby ta miał zmarnieć, pocierpi trocha i nic mu nie będzie, a dyć z kochania nikt jeszcze nie umarł.

Marcin.

To prawda, prędzej się urodził. (do Sydora i Praksedy) No, nie trapcie się, dzieci, młodsza pani często dopytuje się o was, ona wam dopomoże, zaręczam.

Sydor.

Poczciwa panienka, niech jej Bóg da zdrowie.

Michał (wbiega z prawej, wołając z daleka).

Jadą, jadą, jadą już państwo.

Marcin (do Michała).

Biegaj do Piotra, niech strzela z moździerzy, żywo!

(Michał wybiega na lewo.)

Marcin.

A wy, przyjaciele, stańcie po tej stronie. (ustawia ich po lewej) Błażej i Marek na przodzie, a tutaj Sydor i Prakseda a krzyczcie co sił: „wiwat, niech żyją państwo młodzi!“ (za sceną słychać wystrzały) Oho, powozy już zajeżdżają.

Wszyscy (odkrywają głowę).

Wiwat! niech żyją państwo młodzi!

Śpiew nr. 24.

Chór.

Witaj, witaj, paro młoda,
Ślubem połączona,
Już serc waszych bratnia zgoda } bis
Bogiem uświęcona.

Wspólna droga, z dłonią w dłoni,
Życie wam umili,
Miłość tarczą was osłoni, } bis
W złej czy dobrej chwili.

Kędy prawość mieszka w czynie,
Kędy cnota gości,
Tam i życie błogo płynie } bis
W zgodzie i jedności!

SCENA IV.

Marcin — Błażej — Marek — Sydor — Prakseda — Wieśniacy — Wieśniaczki.

(Przy końcu drugiej zwrotki wchodzą na scenę z prawej Eugenjusz z Hanią i Zofią i goście w weselnych strojach.)

Błażej i Marek (występują naprzód i kłaniają się nisko).

Jaśnie wielmożny dziedzic i jaśnie wielmożna dziedziczka niech raczą przyjąć od wiernych poddanych chleb i sól, aby im Bóg wszechmocny darzył na wszystkiem.

Eugenjusz (przyjmując chleb).

Bóg wam zapłać, moi sąsiedzi i przyjaciele, a nie zapominajcie o drodze do nas i odwiedzajcie nas często czy to dla porady, czy dla pogawędki. Znajdziecie u nas zawsze serdeczne i braterskie przyjęcie.

Błażej.

Daj wam, Boże, wszystko dobre; my tu we wsi szanujemy was i kochamy całem sercem, jasny panie.

Eugenjusz (ze wzruszeniem).

O, i ja was nie mniej, bądźcie przekonani. (ściska Błażeja i Marka, którzy całują go po rękach, potem kłaniają się nisko i cofają do gromady, Sydor i Prakseda występują i kłaniają się)

Sydor.

A od nas biednych raczcie przyjąć te polne kwiecia, abyście w życiu waszem nie zaznali cierni i głogu i stąpali jeno po samych tylko kwiatach. (podaje bukiet Hani, Prakseda Eugenjuszowi)

Hania (z radością).

Och! dziękuję, serdecznie wam dziękuję; już nie mogliście zrobić mi większej przyjemności; ja tak lubię polne kwiaty, poczciwy

Sydorze. (ściska go za rękę) I ty, kochana Praksedo! (podaje jej rękę Ale cóż to wy jeszcze nie po ślubie?

Sydor (z westchnieniem).

Ho! ho! któż wie, czy kiedy będzie?

Hania.

Dlaczego? wszakże dawno już mieliście się pobrać.

Sydor (ze smutkiem).

Kiedy nie mamy do czego, proszę jasnej pani; jesteśmy biedni.

Hania (do Eugenjusza błagalnie).

Geniu... oni się tak kochają.. gdybyś... zechciał...

Eugenjusz (z uśmiechem).

Ależ dobrze, dobrze, mój aniele, powiedz im... (szepce jej coś do ucha)

Hania (z radością).

Geniu! ty masz złote serce! Jakże ich to ucieszy, Sydorze! Praksedo, pan Eugeni, (zatrzymuje się, spogląda na Eugenjusza i mówi z dumą) mój mąż obiecał wam dopomódz we wszystkiem i wywianować Praksedę.

S y d o r i P r a k s e d a (z radością ściskają Eugenjusza i Hanię).

O, panie nasz łaskawy, pani ukochana!

S y d o r (nie mogąc powstrzymać łez).

Boże mój, Boże, jaki ja teraz szczęśliwy! (z płaczem) Niech żyje nasz pan! niech żyje nasza pani!

W s z y s c y.

Niech żyją!

(Eugenjusz odprowadza Hanię i gości na taras i sam wraca.)

M a j o r (woła).

Hej, Marcinie, Marcinie!

M a r c i n.

Na rozkazy, panie majorze.

M a j o r (wesoło).

A dajże im co żywo poczęsnego, bo się biedacy we łzach rozpłyną i nie będzie komu potem tańcować na weselu.

M a r c i n.

Podług rozkazu, panie majorze! (do wieśniaków) A nie żałujcie sobie niczego; mamy wszystkiego pod dostatkiem, nie zabraknie choćby do rana. (częstuje ich, wieśniacy i wieśniaczki siadają przy stołach)

Zofja.

Geniu! moje dziecko, spełniły się najgorętsze życzenia twego serca, a ty mimo to coś mi niebardzo wesoło wyglądasz?

Major.

Tak do kroćset, matka ma słuszność, za ponury jesteś jak na pana młodego.

Eugenjusz.

Ależ nie, upewniam was, czuję się tylko głęboko wzruszony. No, nic dziwnego, tak ważna chwila w mem życiu a potem... te przyjęcia.. ten lud poczciwy, który okazuje nam tyle miłości, tyle przywiązania....

Zofja.

Geniu! przez litość, co tobie? płaczesz? Co to ma znaczyć?

Eugenjusz (ze wzruszeniem).

Cóż ja wam powiem? nie potrafię wyrazić słowem tego, co czuję — dręczy mnie niepewność jutra. Dręczy mnie myśl, że może niezadługo nadejdzie czas, kiedy będziemy zmuszeni opuścić to miejsce, tych ludzi i wszystko, wszystko, co ko-

chamy, do czego się przywiązałem. Ta nieszczęsna myśl zatruwa mi najpiękniejsze chwile w dniu tak ważnym i radosnym dla mnie.

Major.

Ależ, bo zapatrujesz się zbyt czarno na wszystko, prawda, że interesa nasze stoją niebardzo świetnie, ale niema znów czego rozpaczać przed czasem.

Zofja.

Uspokój się, moje dziecko, niema jeszcze nic straconego.

Major.

Ma się rozumieć, do miljon set bomb i kartaczy!... nie damy się tak łatwo. A cóż u licha, niedołęgi jesteśmy czy co? Przy gorliwej pracy i oszczędności możemy się jeszcze wypracować, a przytem i ja mam tam jeszcze cokolwiek grosza, niewiele tego, co prawda, ale zawsze jest.

Eugenjusz.

To kropla w morzu, mój stryju.

Major.

Tak, ale ty jesteś młody, silny; na ochocie ci nie zbywa, przy pracy więc...

E u g e n j u s z (z westchnieniem).

Obawiam się, czy to wszystko nie za-późno?

Z o f j a (całuje Eugenjusza w głowę).

Geniu, Geniu, nie martw się. Wypogodź czoło! pamiętaj o Hani, nie zatruwaj sobie i jej tak uroczystego dnia. Zaufaj sercu matki, ja... przeczuwam, że będziesz szczęśliwy.

E u g e n j u s z (całując matkę po rękach).

Droga moja mateczko!

M a j o r (patrzy na prawo).

Słowom pani bratowej towarzyszy dobra wróżba, bo oto jakiś żebrak zbliża się tutaj, a lud nasz twierdzi, że żebrak na weselu przynosi szczęście małżeństwu. A jest i drugi, ho! ho! ale ten jakiś niezwyczajny, ma nawet w sobie coś imponującego, a jak kroczy dumnie i poważnie! Patrzaj, Eugenjuszu, jaka to majestatyczna postać!

E u g e n j u s z (który rozmawiając z matką, nie słyszał słów majora, zwraca się, wydając okrzyk radości).

To Wasyl!

W i e ś n i a c y (patrząc na prawo).

Król dziadów! (ogólne poruszenie)

SCENA V.

Marcin — Błażej — Marek — Sydor — Prakseda — Eugenjusz — Hania — Zofja — Major — Wieśniacy — Wieśniaczki.

(Wasyl wchodzi z prawej, za nim Semen, niosąc w ręku dużą okutą szkatułkę.)

W a s y l (zdejmując kapelusz).

Pokój temu domowi!

W s z y s c y.

Witajcie, ojcze!

H a n i a (biegnie z radością i rzuca się na szyję Wasylowi).

Dziadku! dziadku mój drogi!

W a s y l (ze wzruszeniem).

Dziecię moje! (całuje Hanię w głowę)

H a n i a.

Nie zapomnieliście o swej córce?

W a s y l.

O tobie, drogie dziecię? Czyżbym mógł? Zanadto cię kocham!

Hania.

I Semen poczciwy! (podaje mu rękę, którą Semen całuje) Teraz nic mi już do szczęścia nie potrzeba.

Eugenjusz (biorąc Hanię za rękę).

Jeszcze najważniejszej rzeczy, Haniu, błogosławieństwa ojca Wasyla. (klęka z Hanią przed Wasylem)

Wasyl (kładzie im ręce na głowę).

Niech Bóg najwyższy zleje na was swoje łaski i nie wypuszcza ze swej najświętszej opieki.

Semen (z radością na stronie).

Przysięga moja spełniona, Eugenjusz szczęśliwy.

Major (wskazując Wasyla).

Patrzaj pani bratowa co to za piękna postać. Założyłbym się, że musiał być kiedyś żołnierzem.

Wasyl (odbiera od Semena szkatułkę i podaje ją Eugenjuszowi).

A tu, dla was, panie, podarunek ślubny, on wyrwie was z kłopotów i zapewni spokój.

Eugenjusz (zmieszany).

Ależ.. ojcze... ja... ja nie mogę tego przyjąć...

Wasyl.

Możecie, panie. Dziad wasz świętej pamięci pan Kaźmierz, dał mi do przechowania znaczną sumę, z wyraźnem zastrzeżeniem, abym użył jej dopiero wtenczas, gdy rodzina Wyżyńskich potrzebować będzie pomocy. Sądzę, że obecna chwila najodpowiedniejsza po temu, przyjmijcie więc, panie.

Eugenjusz (odbiera szkatułkę z radością).

Ojcze Wasylu! nie uwierzycie, jak wielką sprawiliście mi radość; będę nareszcie mógł spokojnie cieszyć się swojem szczęściem. (oddaje szkatułkę Marcinowi, który odnosi ją i zaraz wraca)

Eugenjusz (prowadząc Wasyla do Zofji).

Matko moja, podziękuj .temu zacnemu starcowi.

Zofja.

Nie zdołam wyrazić wam swej wdzięczności. Dzięki, dzięki wam serdeczne. Pozyskaliście miłość moją i szacunek.

Major (serdecznie, podając rękę Wasylowi).

I moją, i moją do krocset! Ofiaruję wam, ojcze, całe moje serce, w przyjaźni szczere i wierne.

Wasyl (ze wzruszeniem).

Wielmożni państwo bardzo dla mnie łaskawi.

Major (woła).

Hej, podać tu wina! wypijemy zdrowie Wasyla. (Marcin i służący podaje wino)

Major (podnosząc kielich).

Zdrowie ojca Wasyla!

Wszyscy.

Niech żyje!!!

Wasyl.

Za szczęście i pomyślność młodej pary!!!

Wszyscy.

Niech żyją!!!

(Wasyl, Major, Eugenjusz, Zofja, Hania idą na taras, gdzie Major częstuje Wasyla, ściskając go i całując co chwili.)

Śpiew nr. 25.

Chór.

Niechaj żyją państwo młodzi
W szczęściu i radości!
Niech im czarę życia słodzi } bis
Kwiat wiecznej miłości.

Wszyscy wdzięczność czują w łonie,
Lud wam sercem płaci.
Wy ściskacie jego dłonie } bis
Kochacie jak braci.

Żyjcie długo w długie wieki,
W zdrowiu, szczęsnym bycie.
Bóg wam łaską swej opieki } bis
Opromieni życie.

Finale.

Niech żyją! niech żyją! niech żyją!

(Natychmiast po śpiewie muzyka gra hucznego poloneza. Zofja podaje rękę Wasylowi, który całuje ją z uszanowaniem i rozpoczynają taniec. Za nimi Eugenjusz z Hanią, Major, goście. Polonez przechodzi dokoła sceny.)

Polonez — taniec nr. 26.

(Zasłona spada.)

Koniec.

Rawicz, **Nasze skrzypki**, 101 pieśni narodowych, dumek i aryi polskich. 3 zesz. po **1,50 m.**

Zeszyt I. 1) Boże coś Polskę. 2) Z dymem pożarów. 3) Jeszcze Polska nie zginęła. 4) Polak nie sługa. 5) Na Wawel, na Wawel. 6) Lazła niegdyś polska skóra. 7) Lecą listki z drzewa. 8) Witaj, majowa jutrzenko. (Trzeci maj.) 9) Tam na błoniu błyszczy kwiecie. 10) Tam gdzie Wisła swemi wody. 11) Gdzie dom jest mój? 12) Mnóstwo ludzi przed gospodą. 13) Jedzie ułan lasem. 14) Wiatr szumny wionął. 15) Gdy na wybrzeżach twojej ojczyzny. 16) Chociaż bieda, to hoc, hoc. (Mazurek). 17) Płynie Wisła, płynie. (Krakowiak). 18) Rży koniczek mój bułany. 19) Młody wojownik pośród obcej ziemi. 20) Siadł zwoszczyk na przodzie. 21) Hej tam w karczmie za stołem. (Bartosz Głowacki). 22) Schowaj, matko, suknie moje. (Czarna sukienka). 23) Stroskany drogiej upadkiem ojczyzny. 24) Zgoda sejmu to sprawiła. (Polonez). 25) Bracia, rocznica. 26) Nie tak in illo tempore bywało. 27) Precz, precz smutek wszelki. (Pieśń filaretów). 28) Siedzi krakus pod drzew cieniem. (Dumka). 29) Dalej, bracia, bierzma. (Krakowiak). 30) Do broni, ludy. (Marsz Mierosławskiego). 31) Targa swój wianeczek. 32) Piękna Basiu, luba Basiu. (Mazurek). 33) Hej, jam Mazur rodowity. (Mazur Elbląski). 34) Węgier, Polak dwaj bratanki.

Zeszyt II. 35) Ciężko ranny z wieńcem chwały. 36) Jam Polak znany z niedoli. 37) Jak wspaniała nasza postać. (Śpiew ułanów polskich). 38) Czemu smutek serce toczy? 39) Jedzie ułan w las. 40) Nasz Chłopicki wojak dzielny. 41) Nie dbam jaka spadnie kara. (Dumka). 42) Na wschód patrząc mym zwyczajem. (Dumka). 43) Stańmy, bracia, wraz. (Maliniak). 44) Krew nam polska w żyłach krąży. 45) Polska młodzież niech nam żyje. 46) Oto dziś dzień krwi i chwały. (Warszawianka). 47) Bracia, do bitwy nadszedł czas. 48) Bywaj, dziewczę, zdrowe, ojczyzna mnie woła. 49) Gdzieśże jest, aniele mój? 50) Pięknie, cudnie na Wołoszy. 51) Niechaj kto chce śpiewa. (Krakowiak). 52) Gdy się pola zazielenią.

(Arya). 53) Już tyle razy słońce wracało. (Dumka). 54) Włoska kraina. 55) Gdybym ja była słoneczkiem na niebie. 56) Stoi Maryś w oknie. (Mazurek). 57) Słońce idzie jakby spało. (Dumka Mazepy). 58). Szynkareczko, szafareczko. 59) Leci po błoniu. 60) Wijut witry, wijut bujni. (Dumka rusińska). 61) Leć głosie po rosie. (Dumka wielkopolska). 62) W ciemnym lesie ptaszek śpiewa. (Mazurek). 63) Kaj się działy one lata? (Kujawiak). 64) Cały posag Kujawianki. (Kujawiak). 65) Gdy mi mazur zabrzmi w uszy. (Mazurek). 66) A u naszej pani. (Okrężne). 67) Wszystka moja nadzieja. (Pieśń dziadowska).

Zeszyt III. 68) Patrz, Kościuszko, na nas z nieba. 69) Polonez „Patrz Kościuszko". 70) Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę. 71) Za Niemen, het precz. 72) Piękna nasza Polska cała. 73) Gdyby orłem być. (Dumka). 74) Owo ja Mazur. 75) Cudo nasze, dziewczę nasze. (Dumka). 76) Hej, Mazury, hejże ha! 77) Pomoc dajcie mi, rodacy. 78) Bracia, nuż do koła. 79) Polski przemysł niech nam żyje! 80) Wesoło żeglujmy, wesoło. 81) O gwiazdeczko, coś błyszczała. (Dumka). 82) Na dolinie zawierucha. (Dumka). 83) Wilia naszych strumieni rodzica. (Dumka). 84) Gdzież to jedziesz, Jasiu? 85) Wezmę ja kontusz. 86) Panieneczko, Litwineczko. (Maroderka). 87) Był Matysek chłop przed laty. (Mazurek). 88) Hej gościnna, do jasnego! (Oberek). 89) Lśni blaskiem kwietnia błoń. (Arya). 90) Dawniej dziadowie, (Pieśń dziadowska). 91) Jakiż to chłopiec? (Świtezianka). 92) Już śpiewasz, skowroneczku. (Dumka). 93) Wiosenka w zaraniu. 94) Nasz Stefan Batory Wielki. (Polonez). 95) Każ przynieść wina. (Kurdesz). 96) Polska dziewica słynie z swej urody. 97) Oj, ne witsy witer wyje. (Kołomyjka rusińska). 98) Śliczne gwoździki. (Z komedyo-opery „Łobzowianie"). 99) Mój kumotrze, źle się dzieje. (Z komedyo-opery „Łobzowianie"). 100) Parobeczek ci ja. (Z komedyo-opery „Łobzowianie"). 101) Już w gruzach leżą Maurów posady. (Marsz żałobny).

---

107. Król Dziadów.

Franciszek Dc nnik.

Uwertura Huculska
w partyturze.
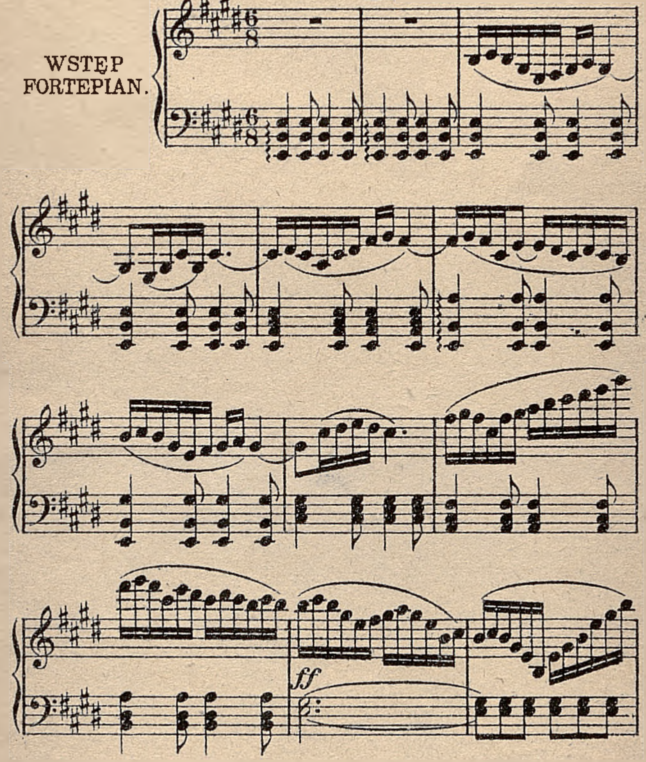
AKT I.

Nr. 1.
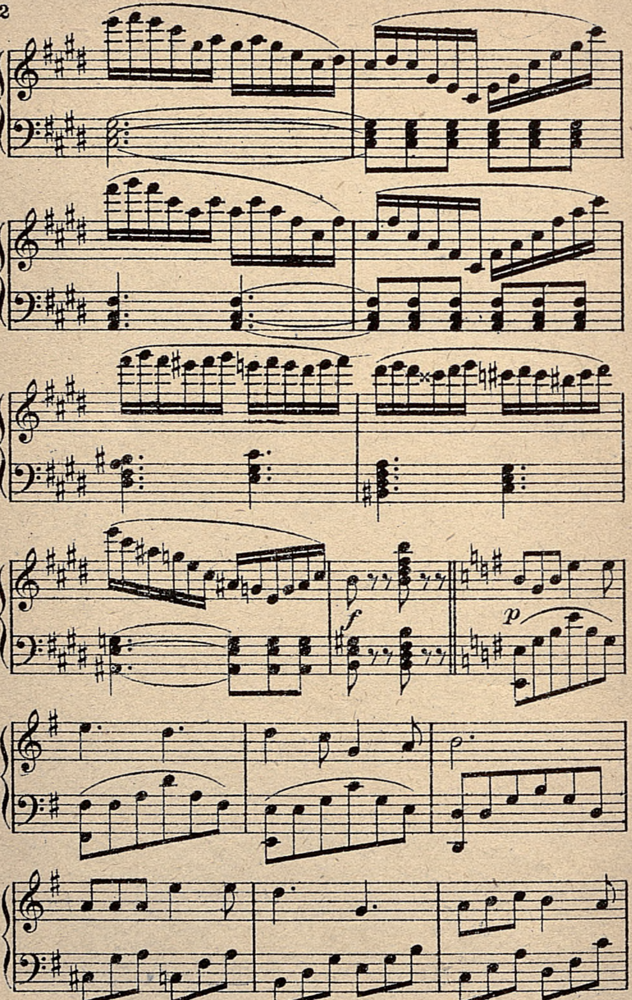
Muzyka Adama Wrońskiego.
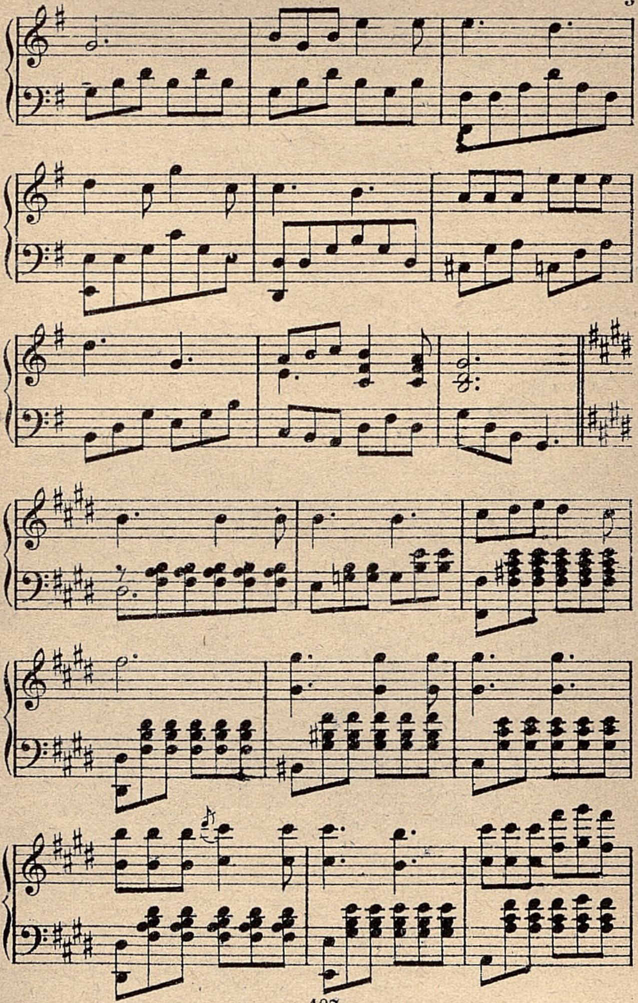
Moderato.
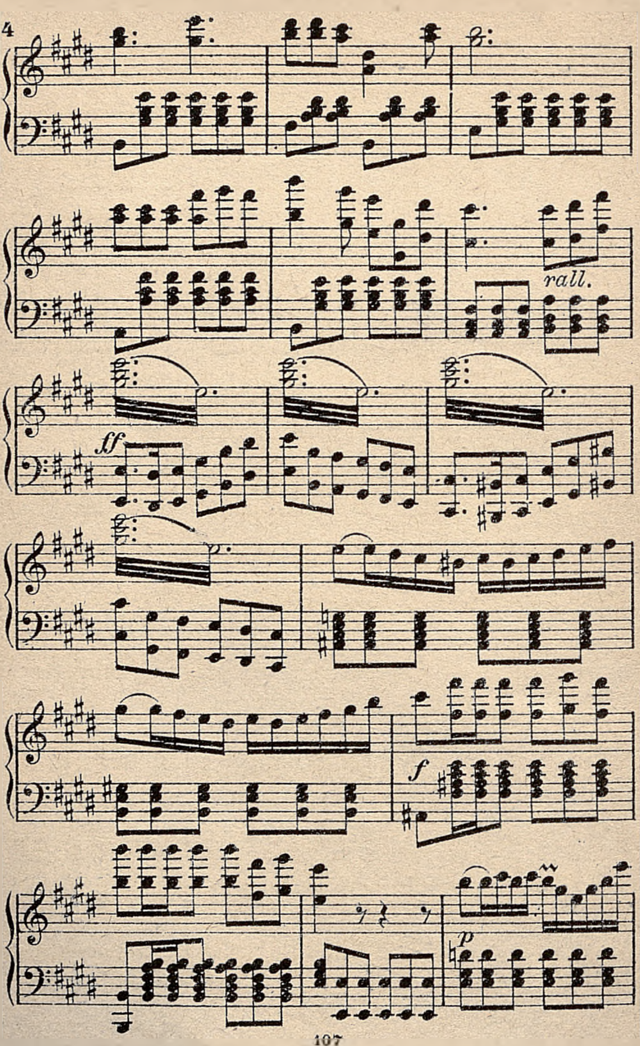
WSTĘP
FORTEPIAN.
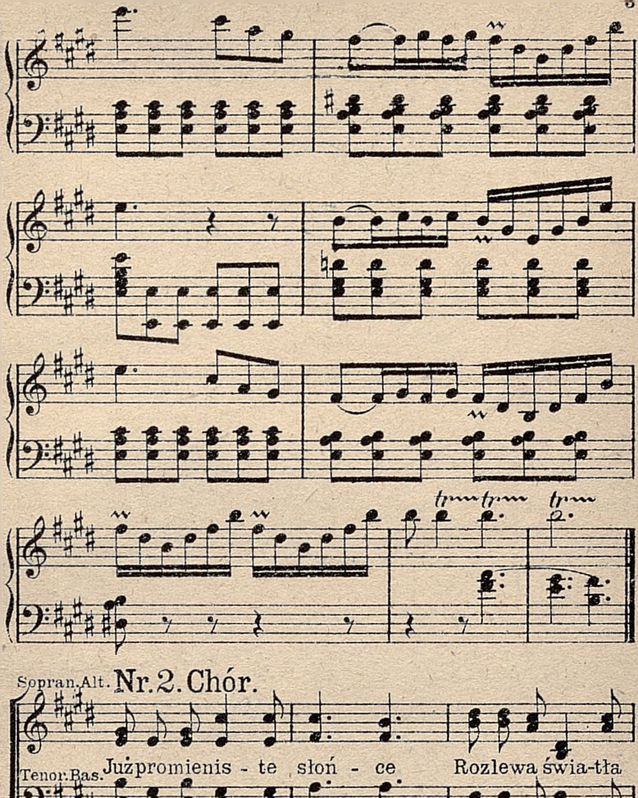


Nakładem A. Cybulskiego w Poznaniu. 107 Drukiem C.G.Rödera w Lipsku.
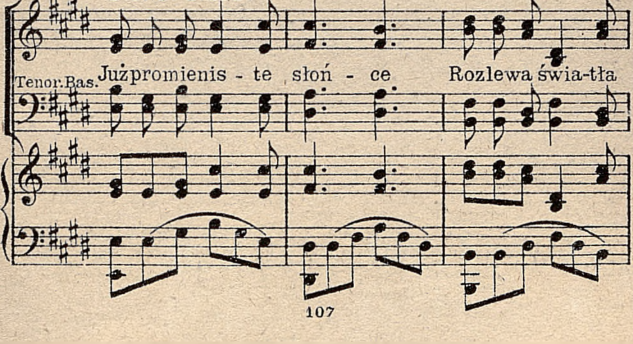

f
p
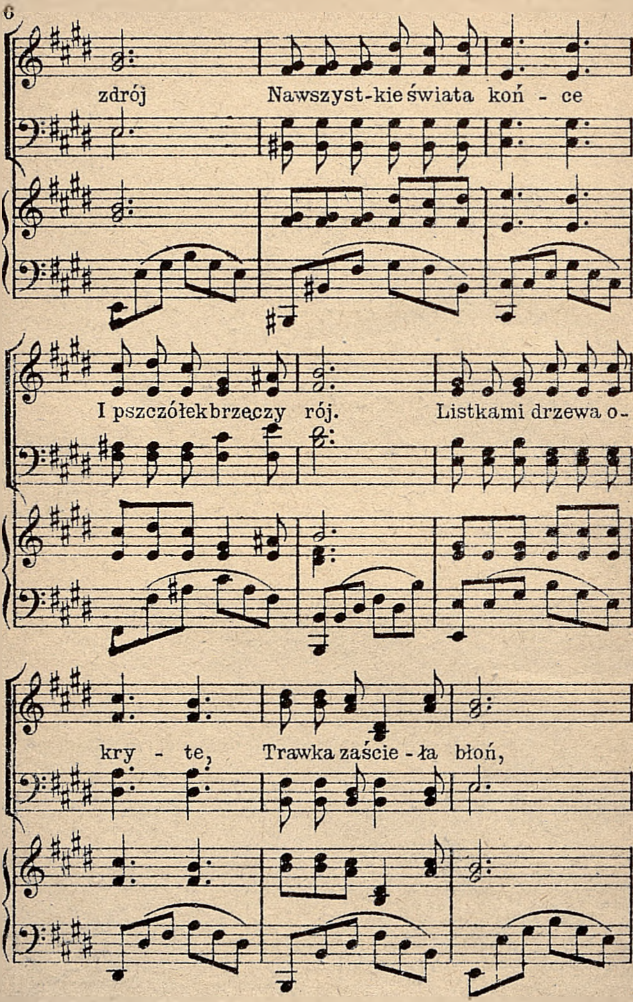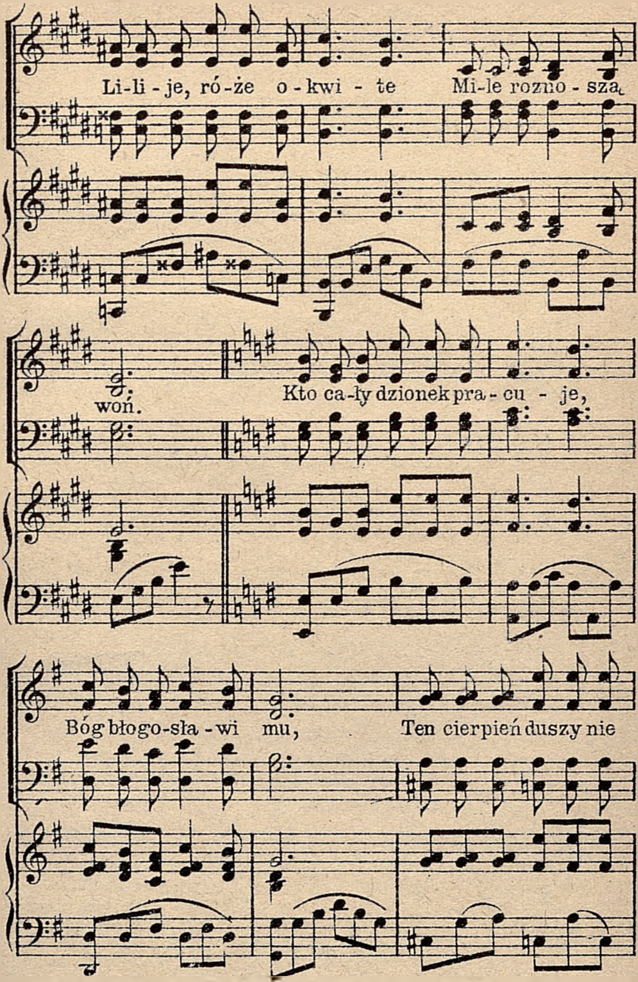



rall.
ff
f
p
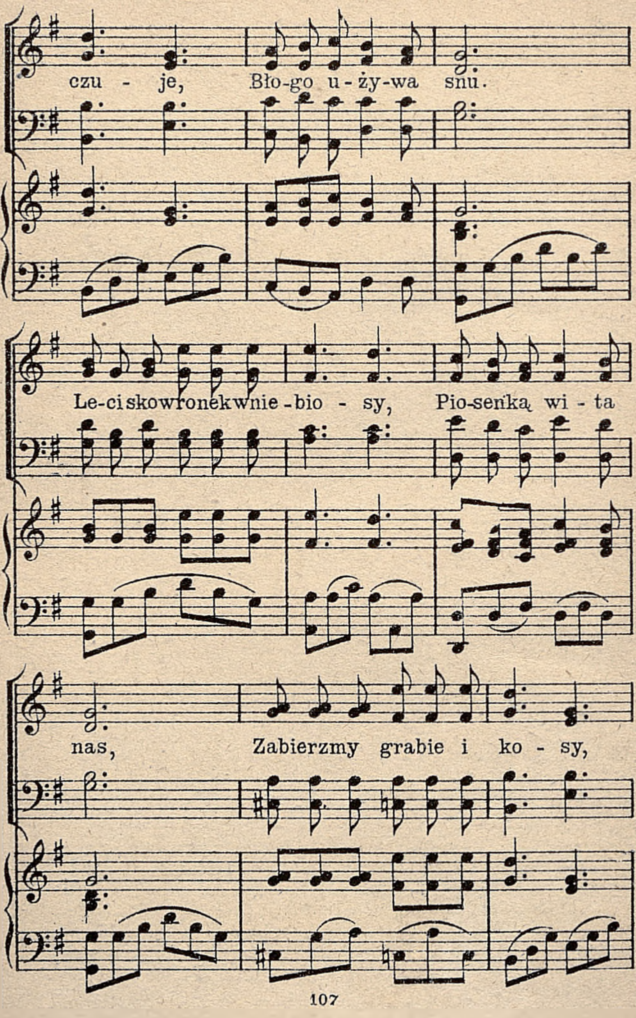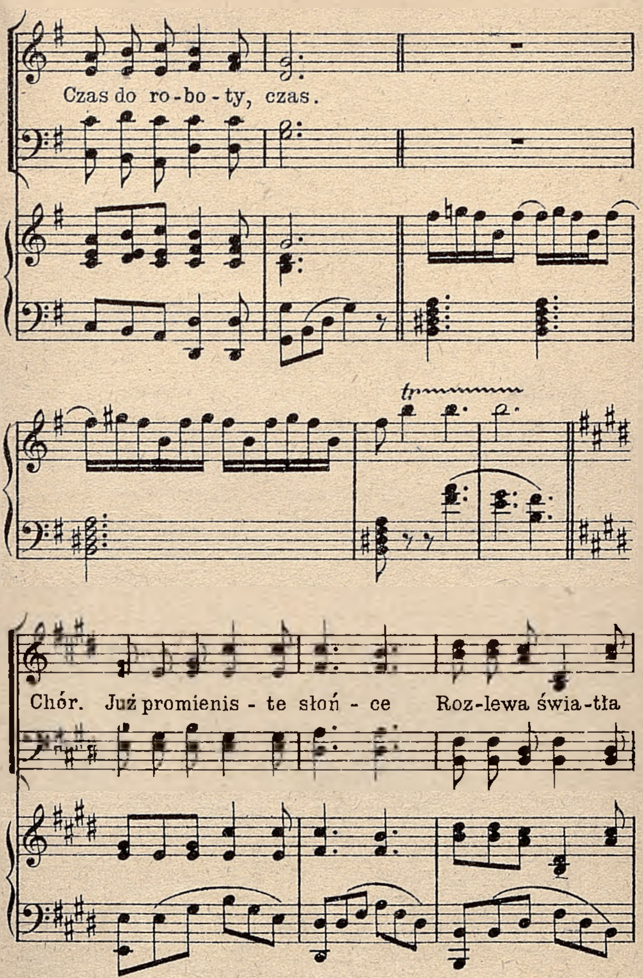


Sopran. Alt. **Nr. 2. Chór.**
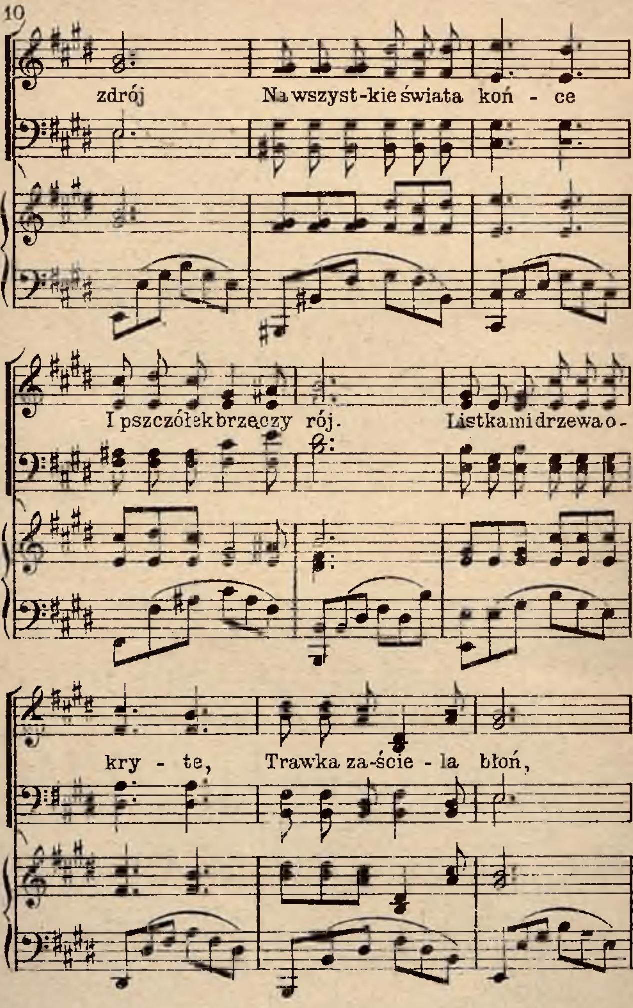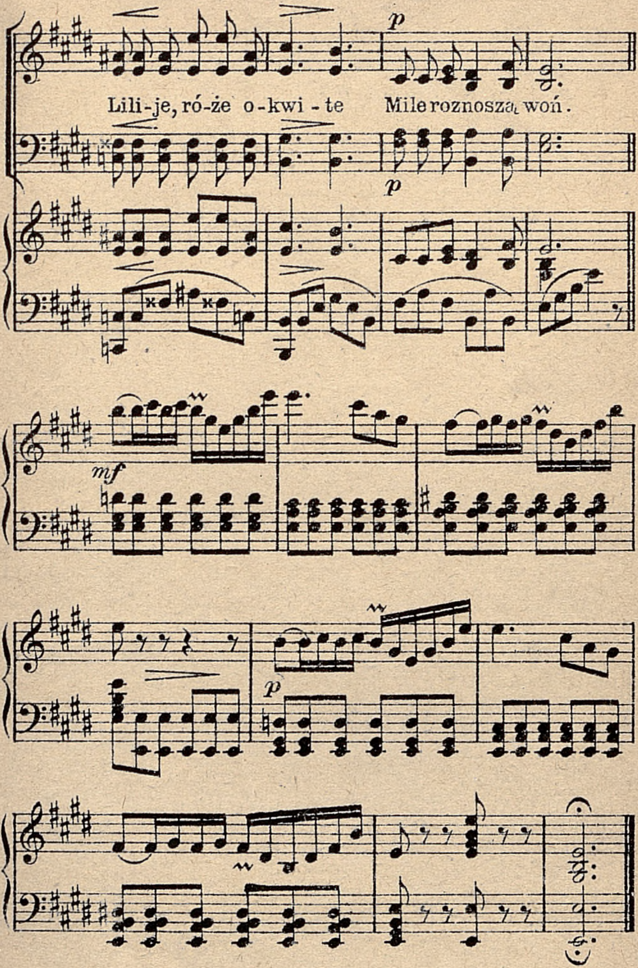



zdrój Nawszyst-kie świata koń - ce
I pszczółek brzęczy rój. Listkami drzewa o-
kry - te, Trawka zaście - ła błoń,


Li-li - je, ró-że o - kwi - te Mi-le rozno - szą
woń.
Kto ca-ły dzionek pra - cu - je,
Bóg błogo-sła - wi mu,
Ten cierpień duszy nie


czu - je, Bło-go u - ży-wa snu.
Le-ci skowronek w nie - bio - sy, Pio-senką wi - ta
nas, Zabierzmy grabie i ko - sy,
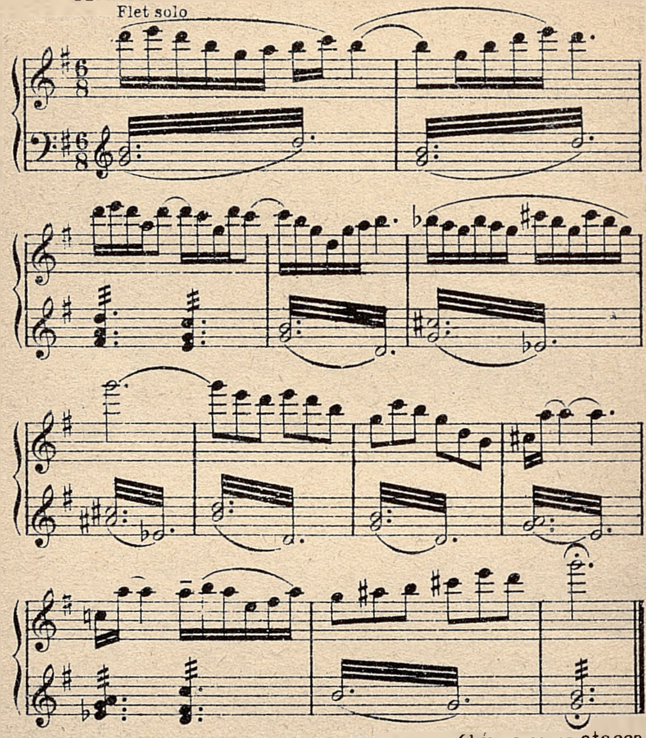

Czas do ro-bo-ty, czas.
tr
Chór. Już promienis - te słoń - ce Roz-lewa świa-tła


10
zdrój Na wszyst-kie świata koń - ce
I pszczółek brzęczy rój. Listkami drzewa o-
kry - te, Trawka za-ście - la błoń,


Lili-je, ró-że o-kwi-te Mile roznoszą woń.

Nr. 3. Melodram.
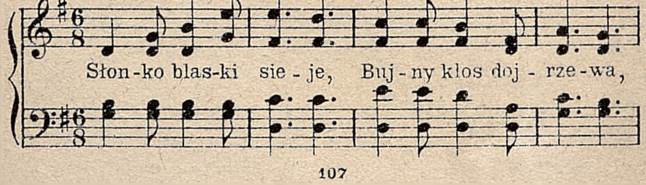
Moderato.
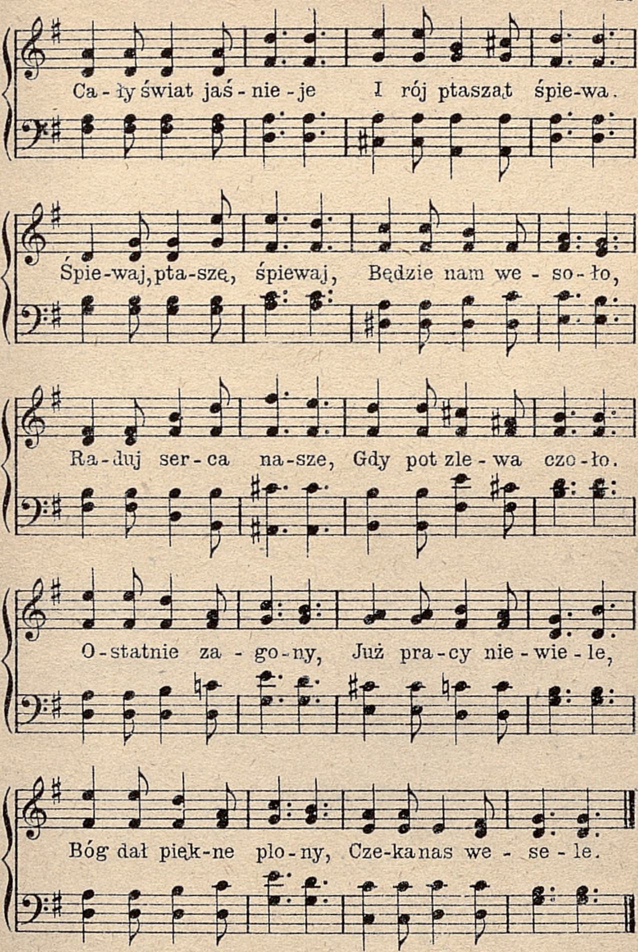


Chór za sceną, atacca.

Nr. 4. Chór mieszany za sceną.
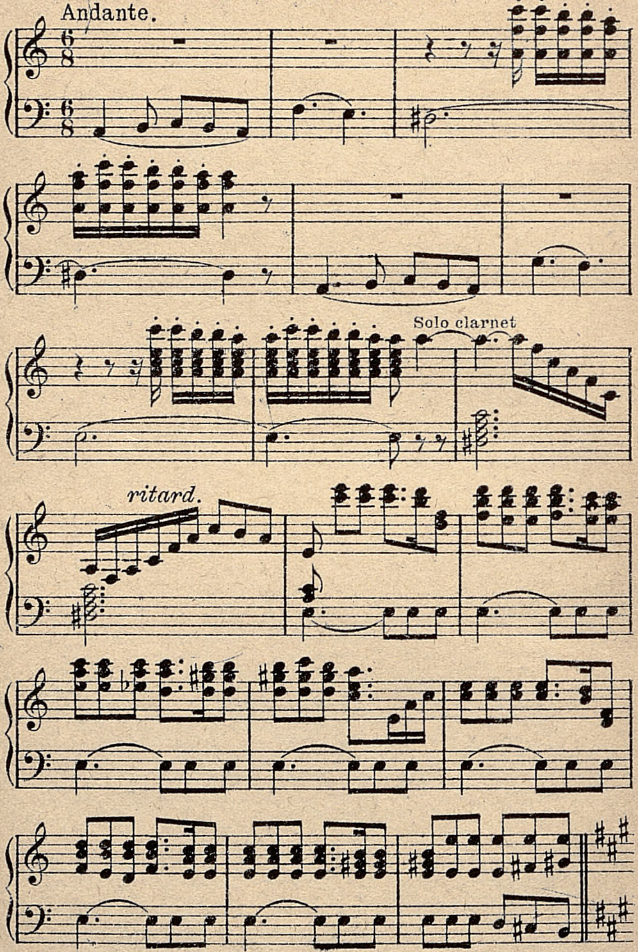
Moderato.
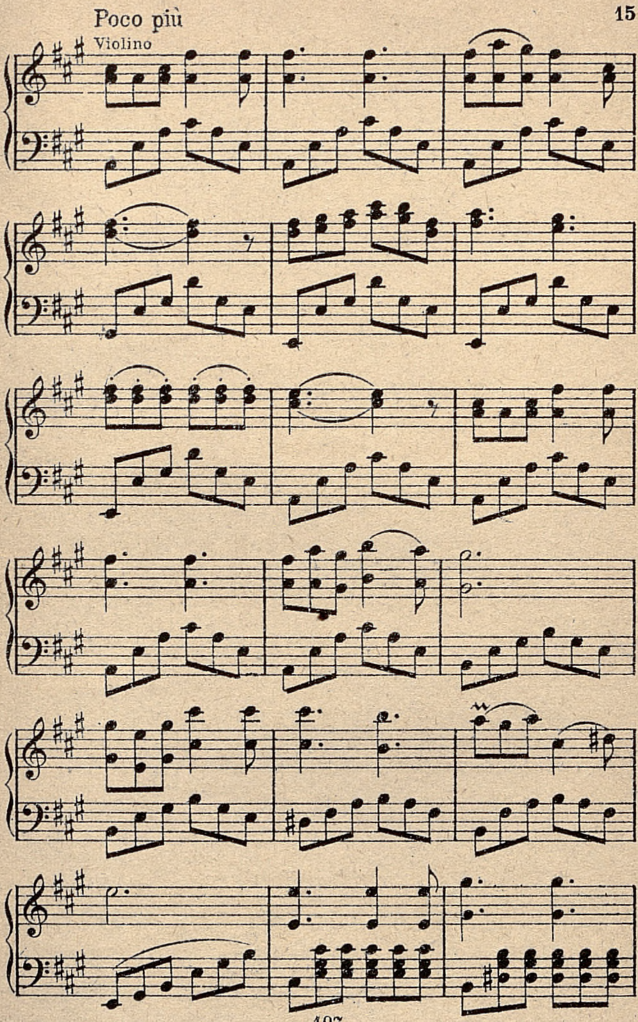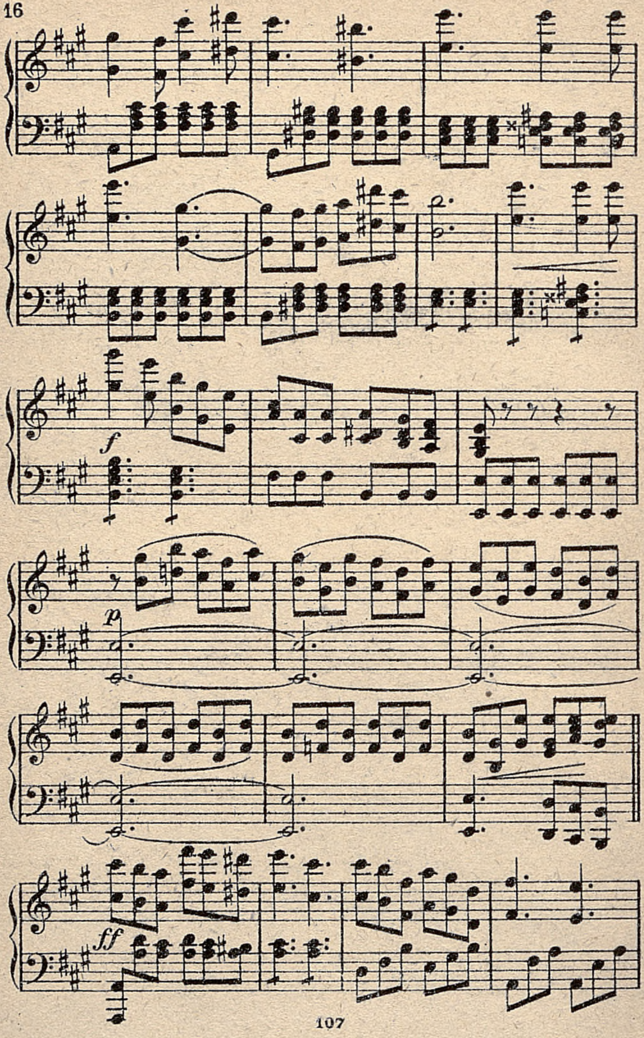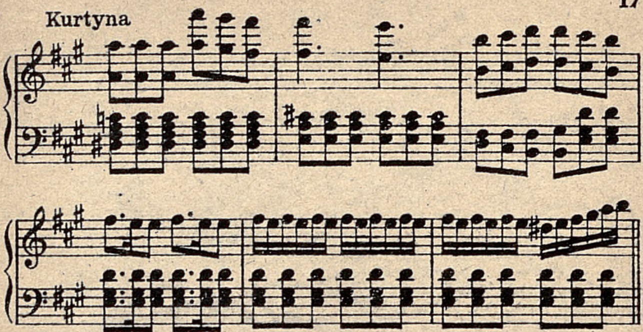




Proza (Po prozie jeszcze raz na zakończenie obrazu Chór Nr. 4.)

Nr. 5. Antrakt do II^{go} Obrazu.
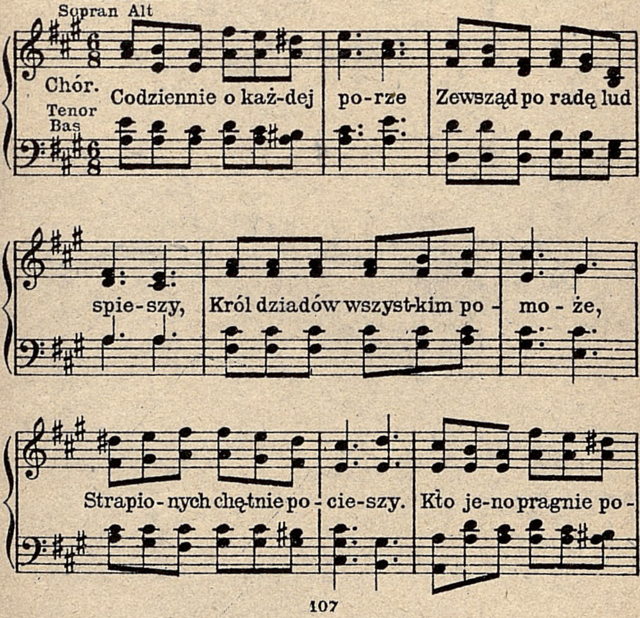



Poco più
Violino
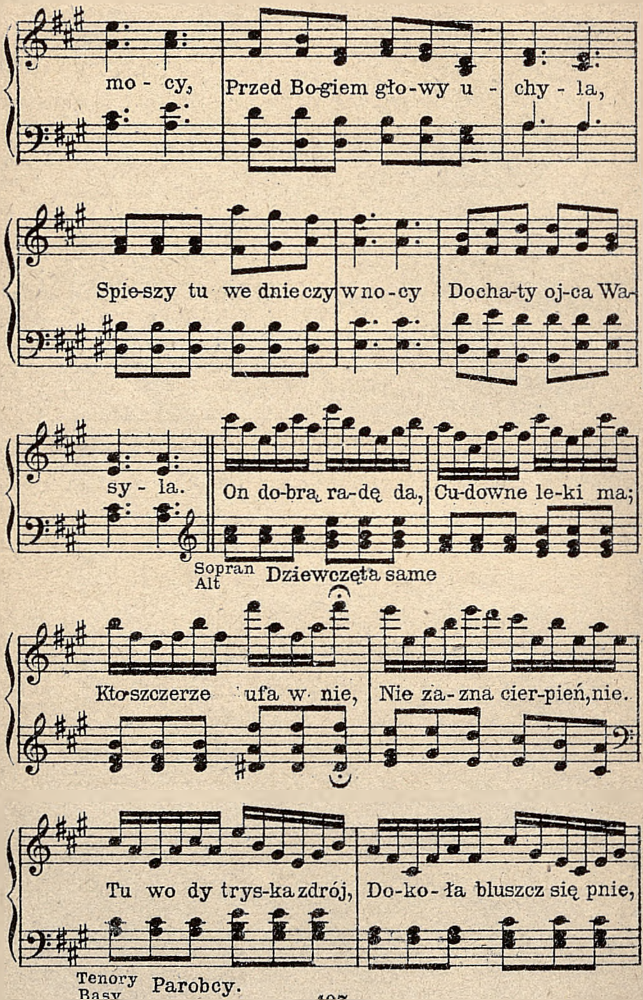

f
p
ff
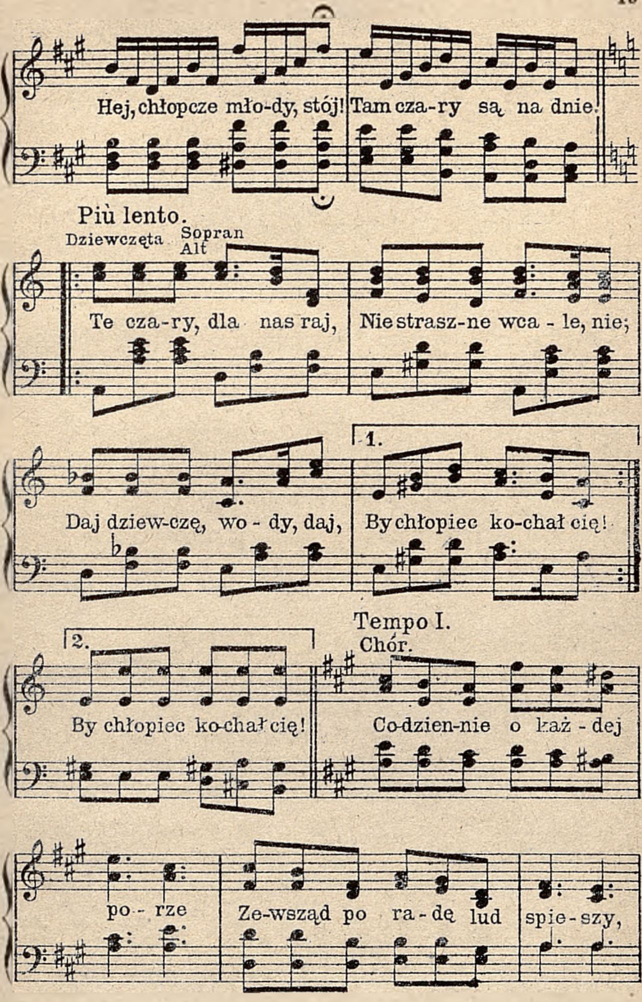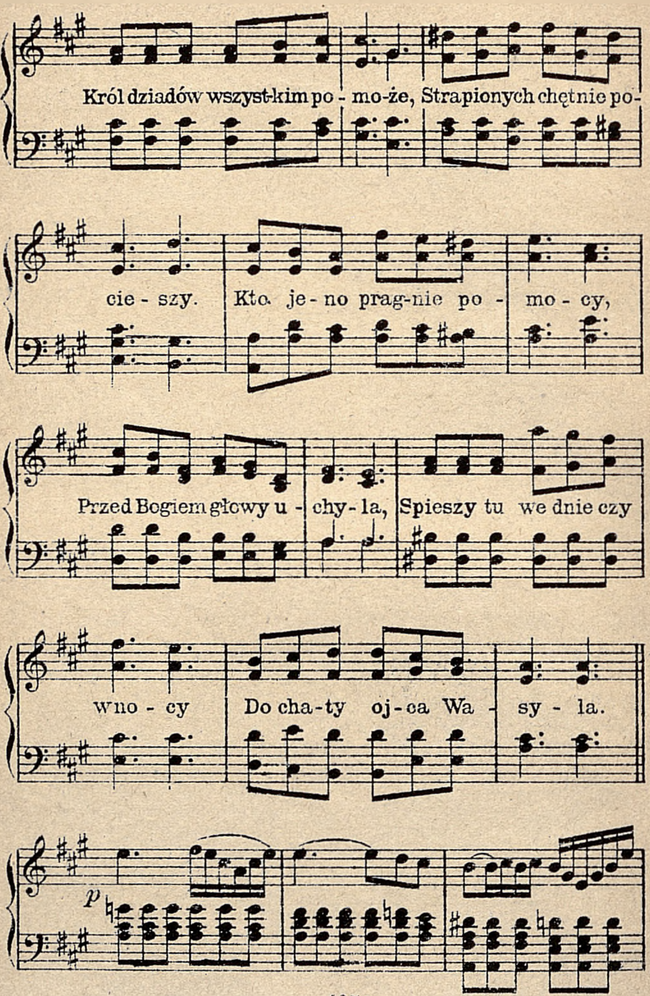


Nr. 6.
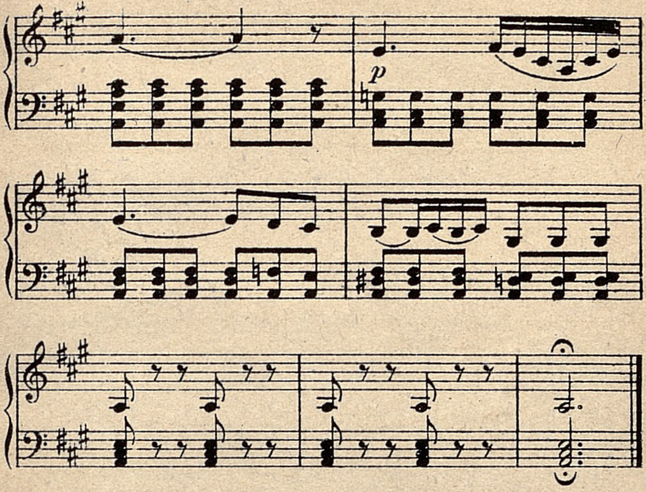
Moderato.




mo - cy, Przed Bo-giem gło-wy u - chy - la,
Spie-szy tu we dnie czy w no - cy Do cha-ty oj-ca Wa-
sy - la. On do-brą ra-dę da, Cu-downe le-ki ma;
Sopran
Alt
Dziewczęta same
Kto szczerze ufa w nie, Nie za - zna cier-pień, nie.
Tu wo dy trys-ka zdrój, Do-ko - ła bluszcz się pnie,
Tenory
Basy
Parobcy.
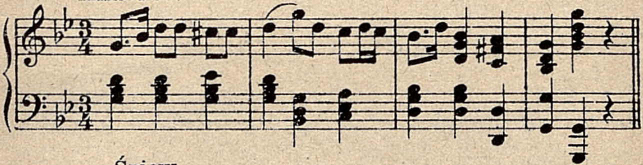

Hej, chłopcze mło-dy, stój! Tam cza-ry są na dnie.
Più lento.
Dziewczęta
Sopran
Alt
Te cza-ry, dla nas raj, Nie strasz-ne wca - le, nie;
Daj dziew-czę, wo - dy, daj,
1.
By chłopiec ko-chał cię!
2.
By chłopiec ko-chał cię!
Tempo I.
Chór.
Co-dzien-nie o każ - dej po - rze
Ze-wsząd po ra - dę lud spie - szy,


Król dziadów wszyst-kim po - mo-że, Strapionych chętnie po-
cie - szy. Kto je - no prag-nie po - mo - cy,
Przed Bogiem głowy u - chy - la, Spieszy tu we dnie czy
w nocy Do cha-ty oj-ca Wa - sy - la.

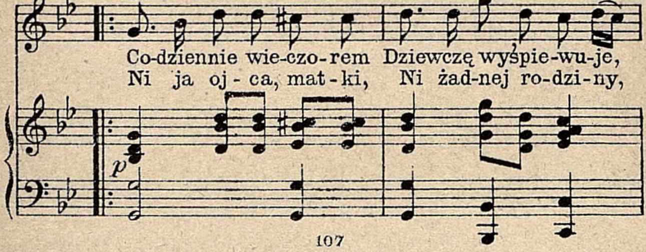


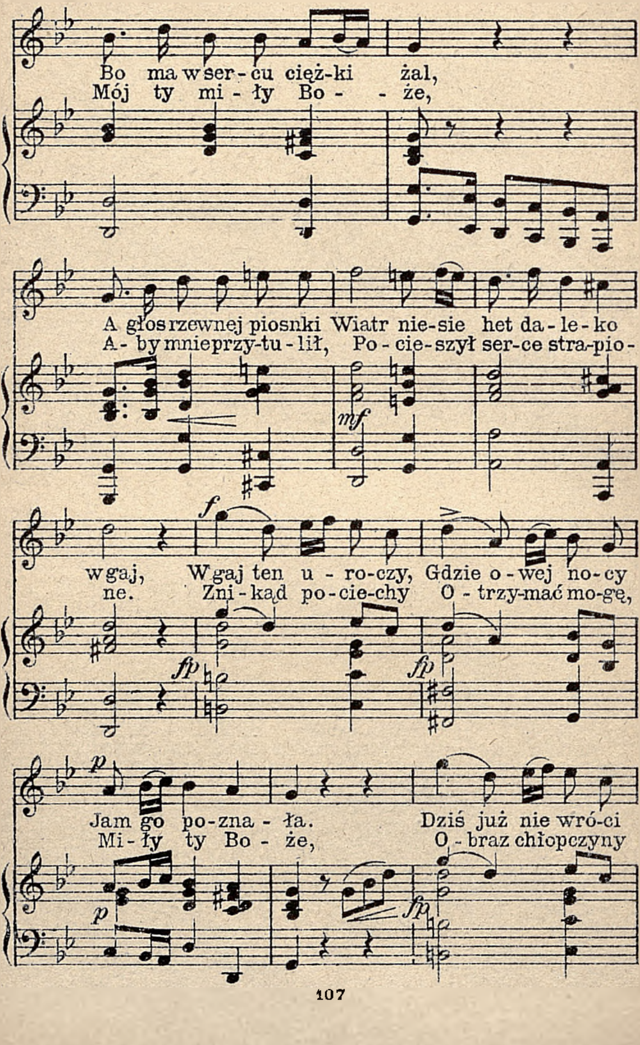
Nr. 7. Dumka. (Śpiew Hani.)
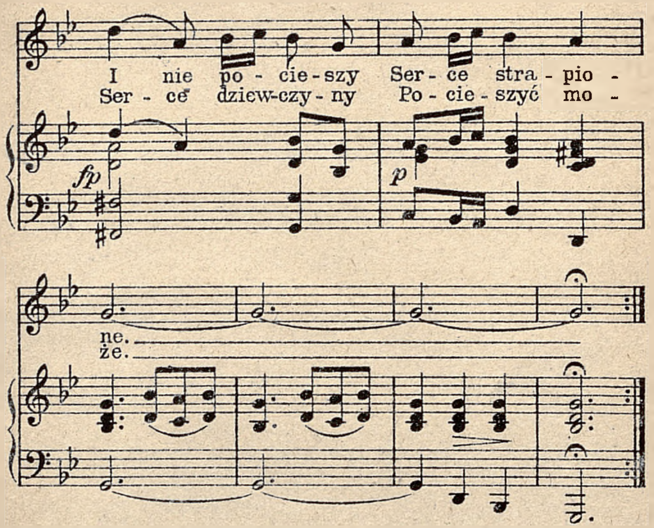
Andante.



Śpiew.
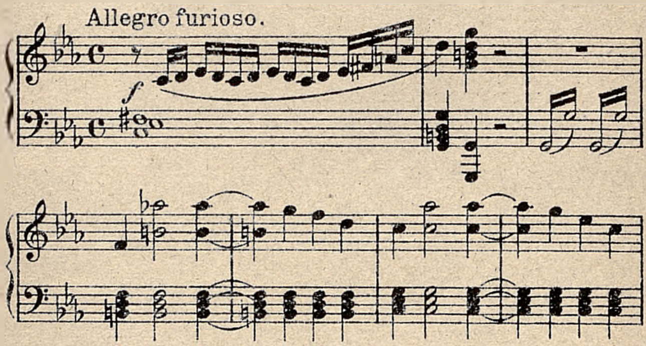



Bo ma w ser - cu cięż-ki żal,
Mój ty mi - ły Bo - - że,
A głos rzewnej piosnki Wiatr nie-sie het da - le - ko
A - by mnie przy-tu - lił, Po - cie - szył ser-ce stra-pio -
w gaj, W gaj ten u - ro-czy, Gdzie o - wej no - cy
ne. Zni - kąd po - cie-chy O - trzy-mać mo-gę,
Jam go po - zna - ła. Dziś już nie wró-ci
Mi - ły ty Bo - że, O - braz chłopczyny
mf
f
fp
p
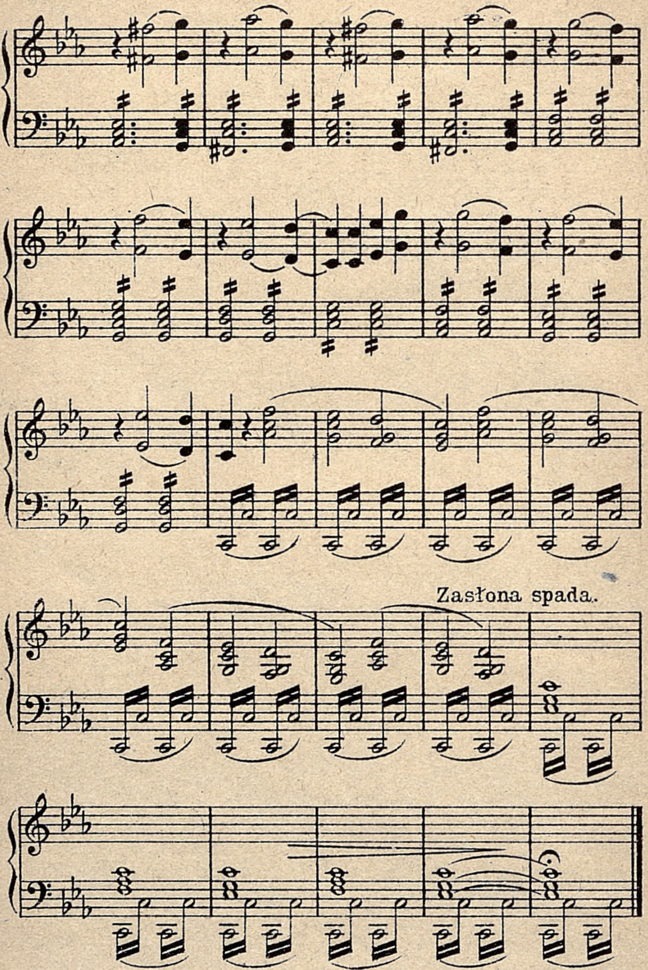


Nr. 8. Melodram.

Porwanie Hani.

Ostatnie słowa: Do widzenia jutro, nieprawdaż?... Ratunku!
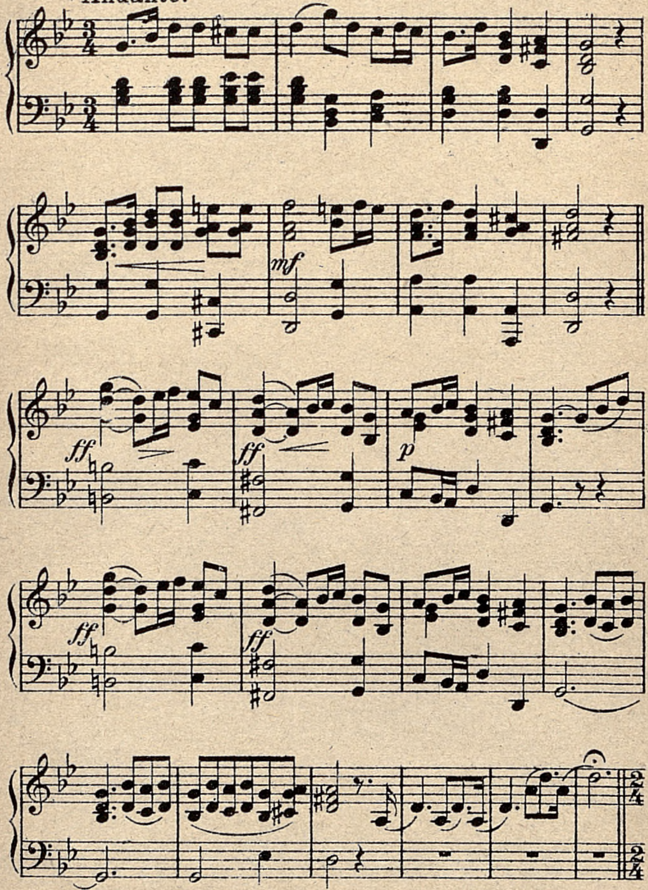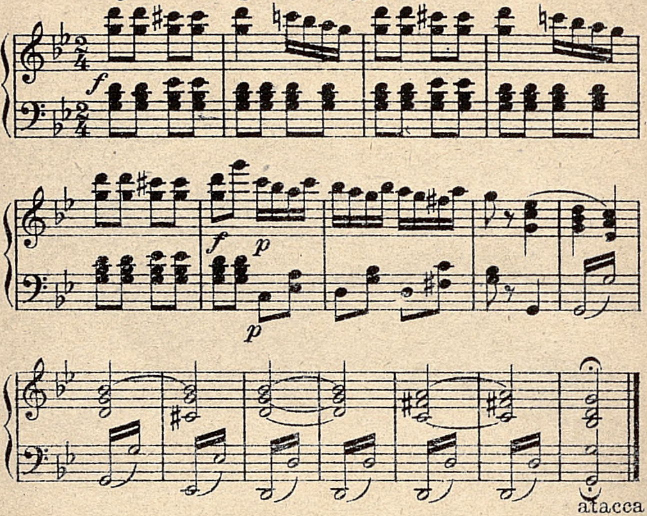




Koniec obrazu II^{go}.

Nr. 9. Antrakt do Obrazu III^{go}
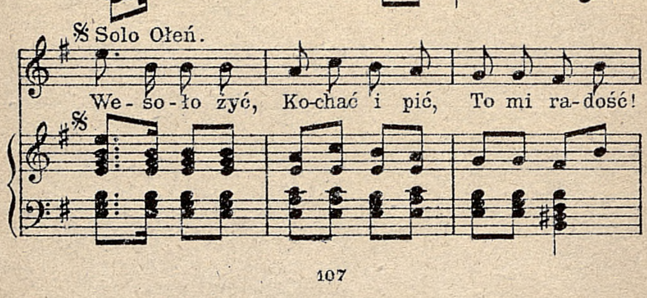
Andante.
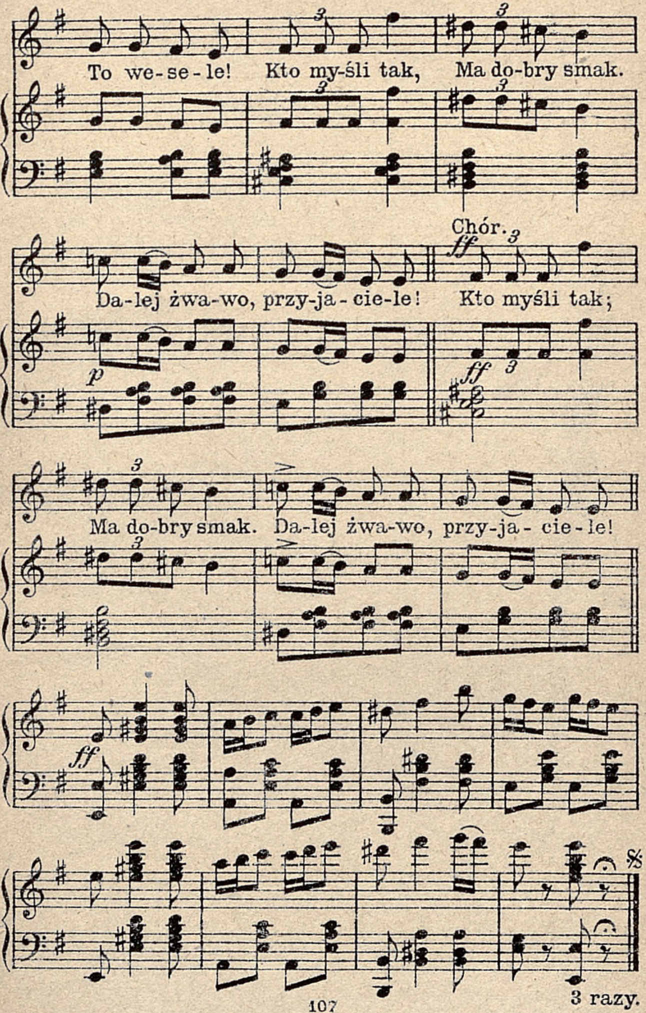


Allegretto Tempo Kołomyjki.
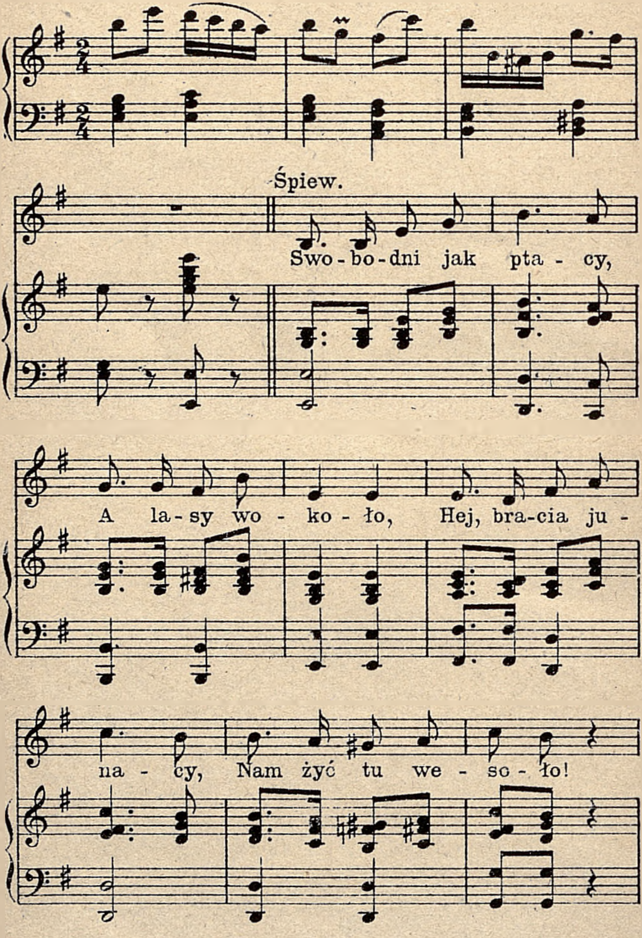


Nr. 10. Śpiew Opryszka Ołenia (Baryton).
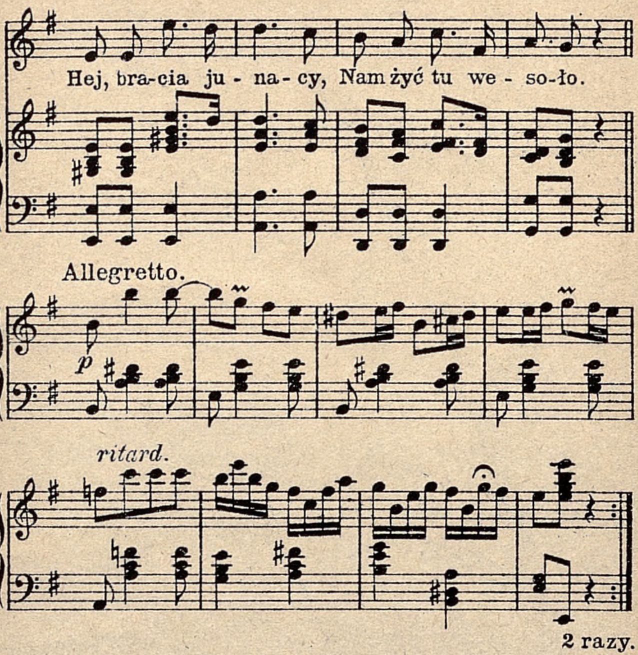



To we-se-le! Kto my-śli tak, Ma do-bry smak.
Chór.
Da-lej żwa-wo, przy-ja-cie-le! Kto myśli tak;
Ma do-bry smak. Da-lej żwa-wo, przy-ja-cie-le!
3 razy.

Nr. 11. Spiew Opryszka Ołenia.

Andante.





Gdy ogień zapłonie, A piosnka zajęczy,
Krew zadrży nam w łonie, Aż toporek brzęczy.
Chór: Krew zadrży nam w łonie, Aż toporek brzęczy.
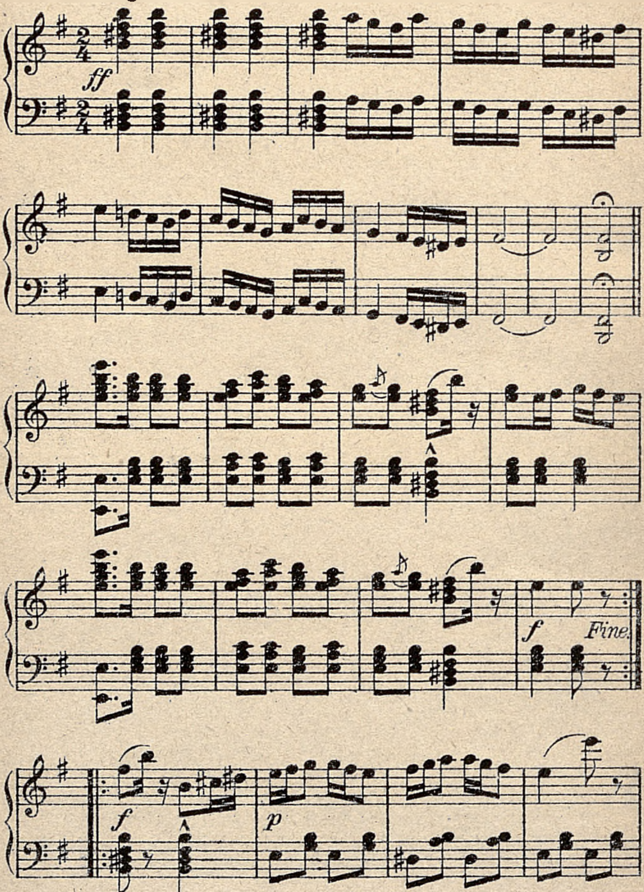
PROZA:

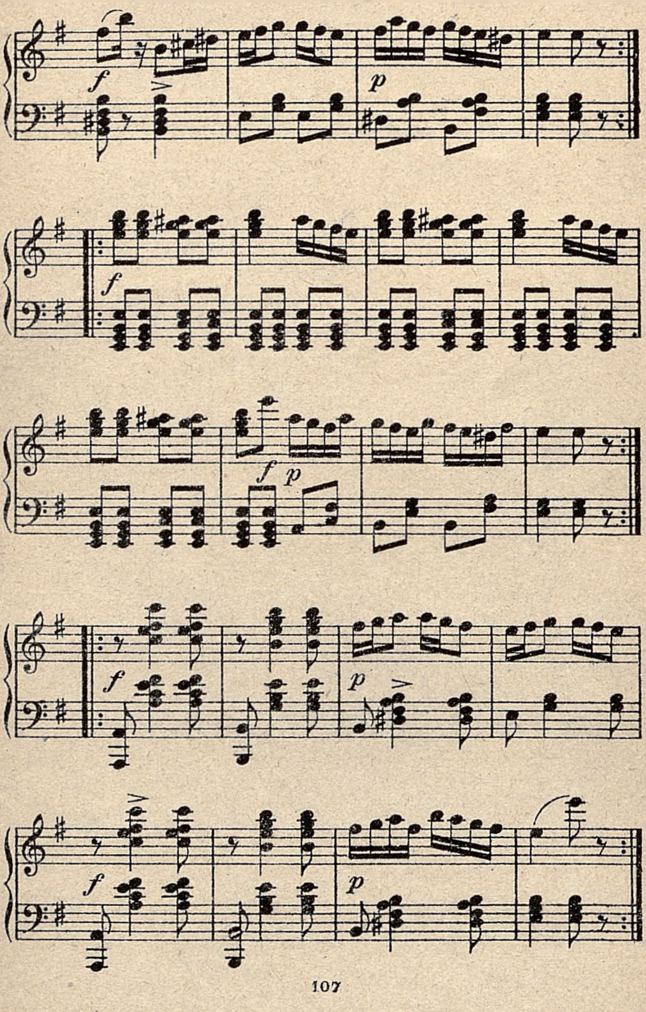
Gdzie pola i jary, Pędzimy wiek młody.
Hej! bracia, do czary, Czekają nas gody.
Chór: Hej! bracia, do czary, Czekają nas gody.

Już skrzypeczki grają, I pienią się dzbany,
Płomienie tryskają, Dalejże więc w tany.
Chór: Płomienie tryskają, Dalejże więc w tany.

Nr. 12. Taniec Opryszków. Kołomyjka.

Allegretto.
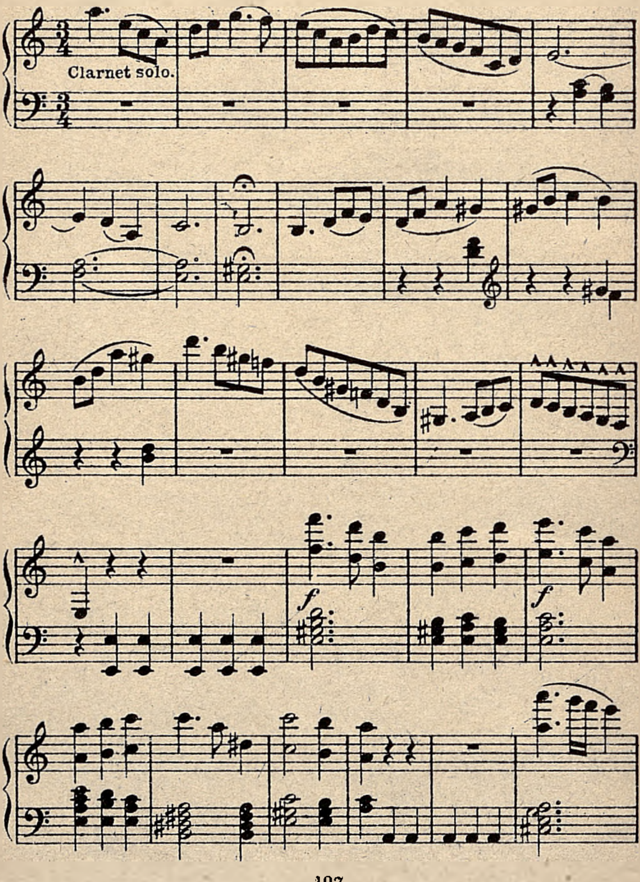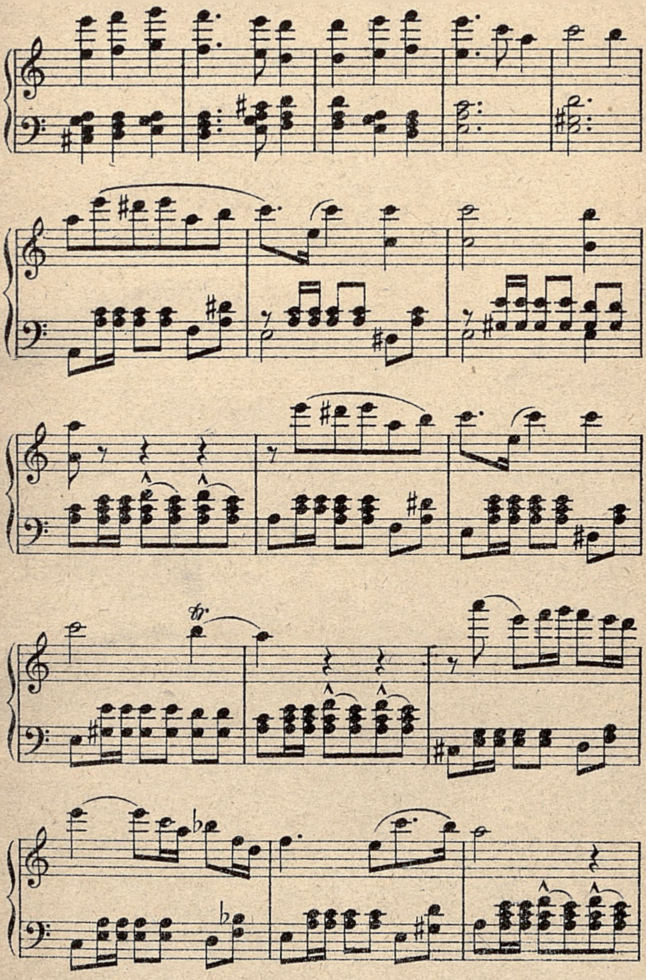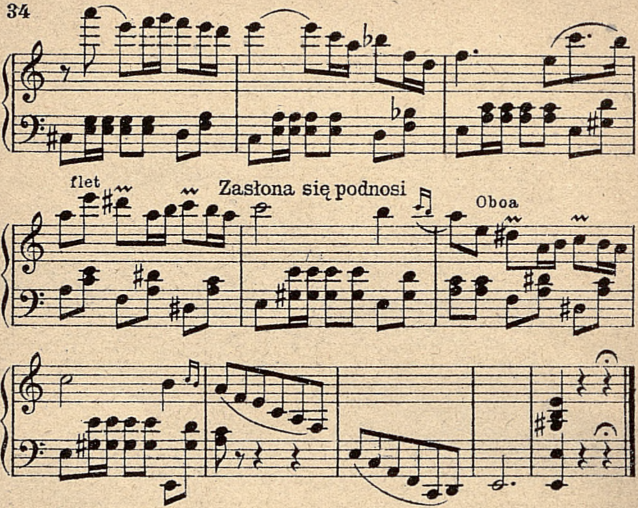




f
p
f
f
p
f
p
f
p

Nr. 13. Antrakt do Obrazu IV.

Andante.
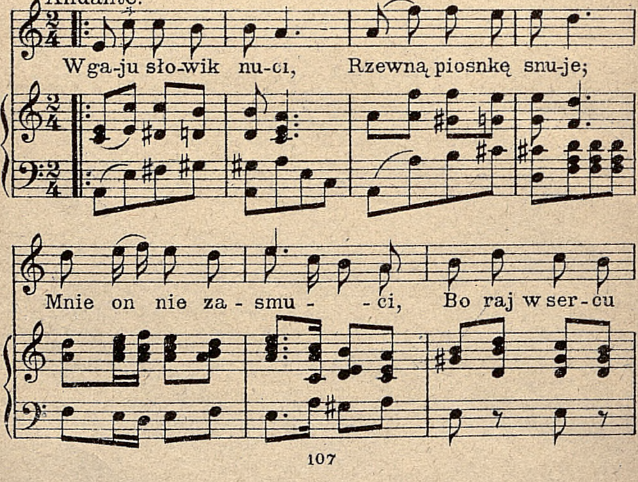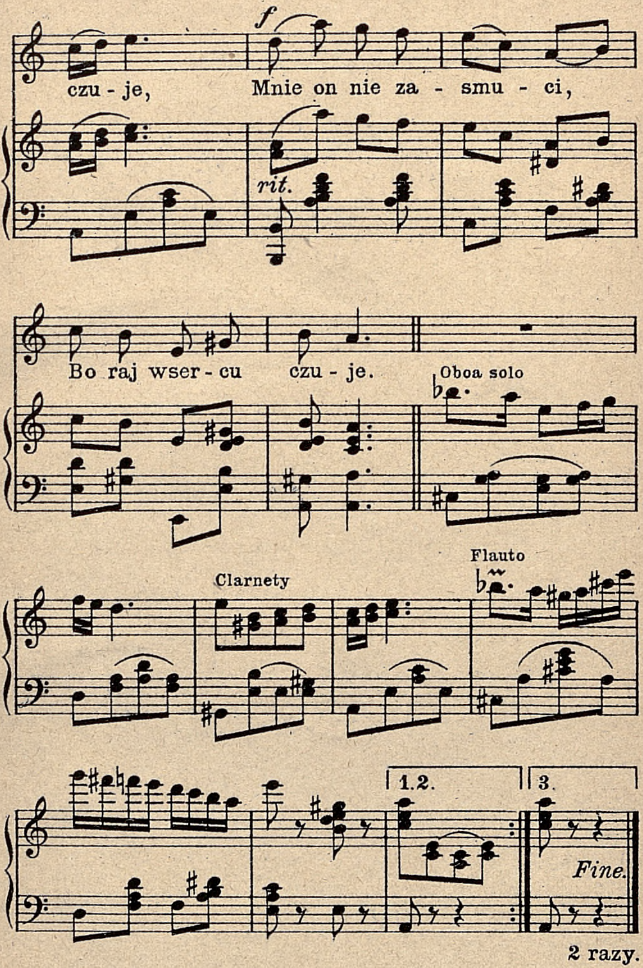






Nr. 14. Śpiew Hani.

Andante.
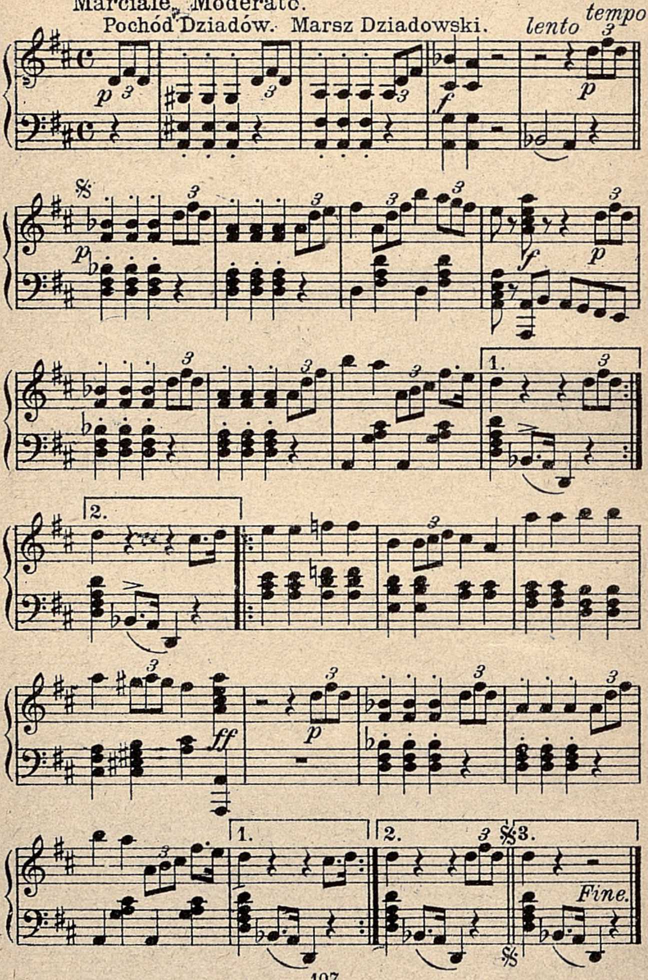



czu - je,
Mnie on nie za - smu - ci,
rit.
Bo raj wser - cu czu - je.
Oboa solo
Clarnety
Flauto
1.2.
3.
Fine.
2 razy.

Nr. 15.
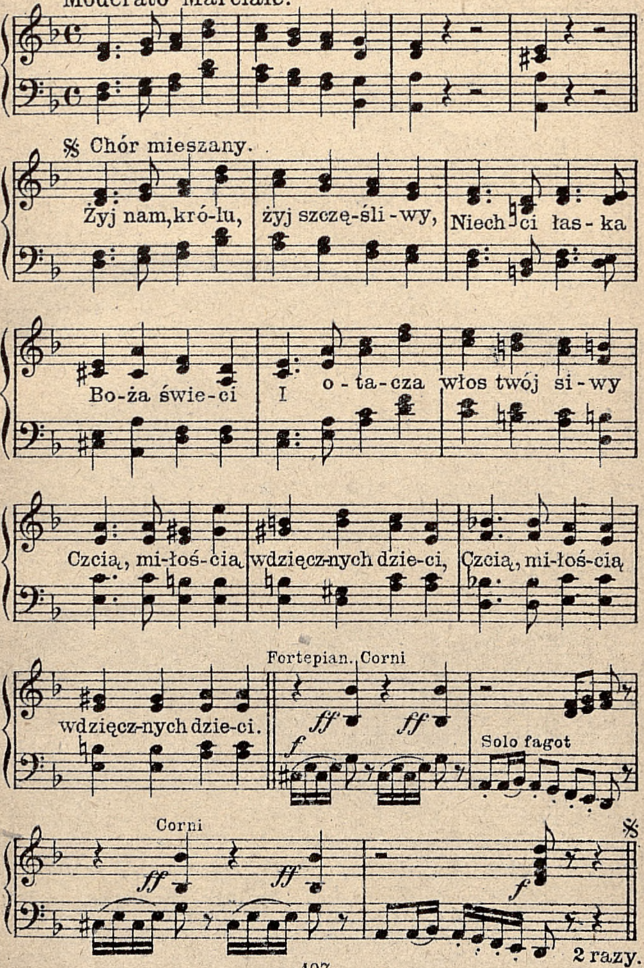
Marciale. Moderato.

Pochód Dziadów. Marsz Dziadowski.
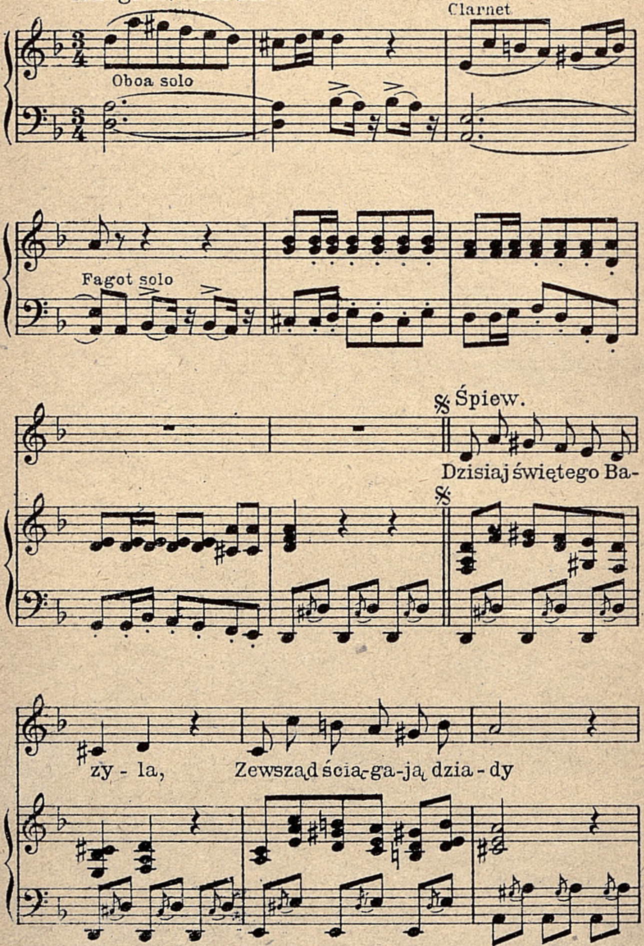


Nr. 16. Chór Dziadowski.
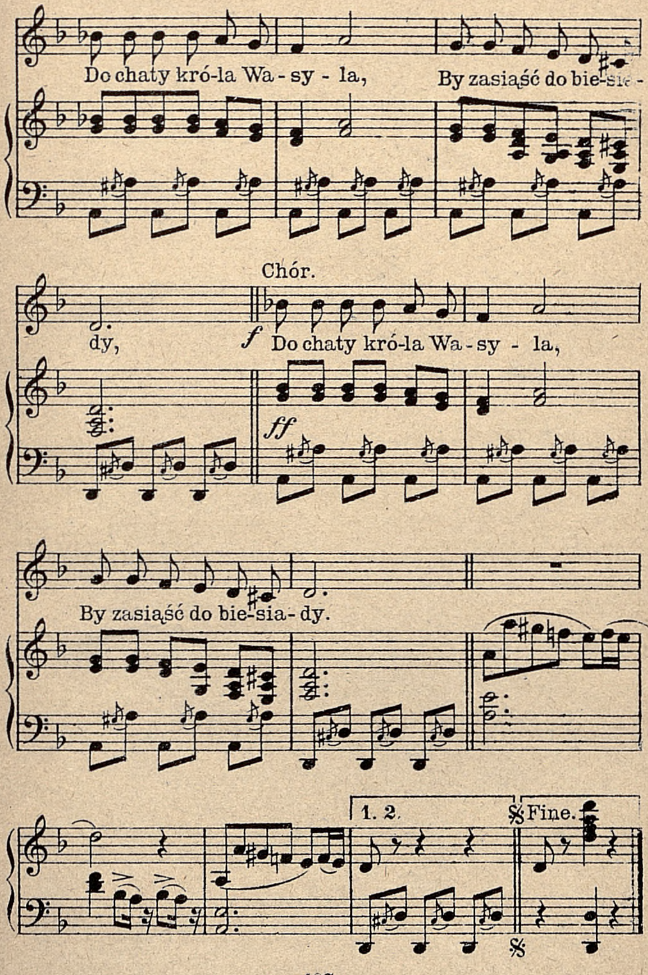
Moderato Marciale.



Nr. 17. Śpiew Dziada Izydora. Bas.
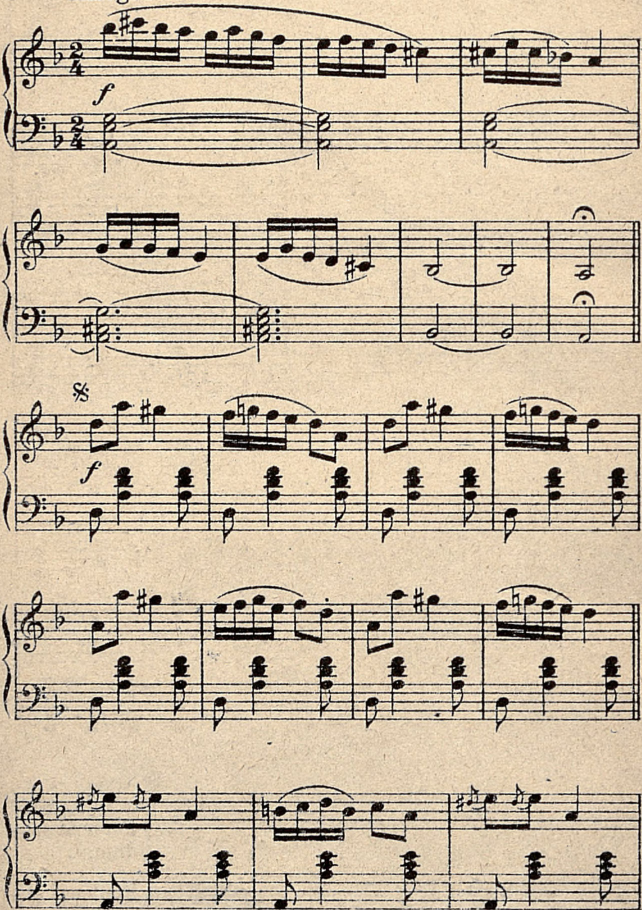
Allegretto Moderato.
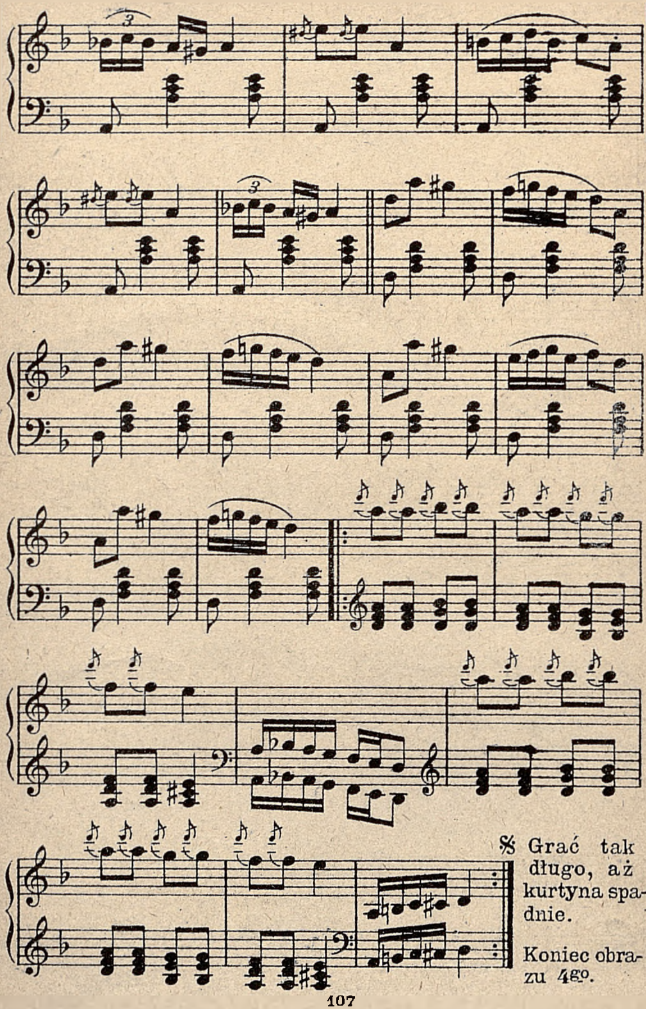



Do chaty kró-la Wa - sy - la,
By zasiąść do bie-sia-dy,
Chór.
f
Do chaty kró-la Wa - sy - la,
ff
By zasiąść do bie-sia-dy.
1. 2.
Fine.

Nr. 18. Taniec Dziadów: Kołomyjka.

Allegretto.
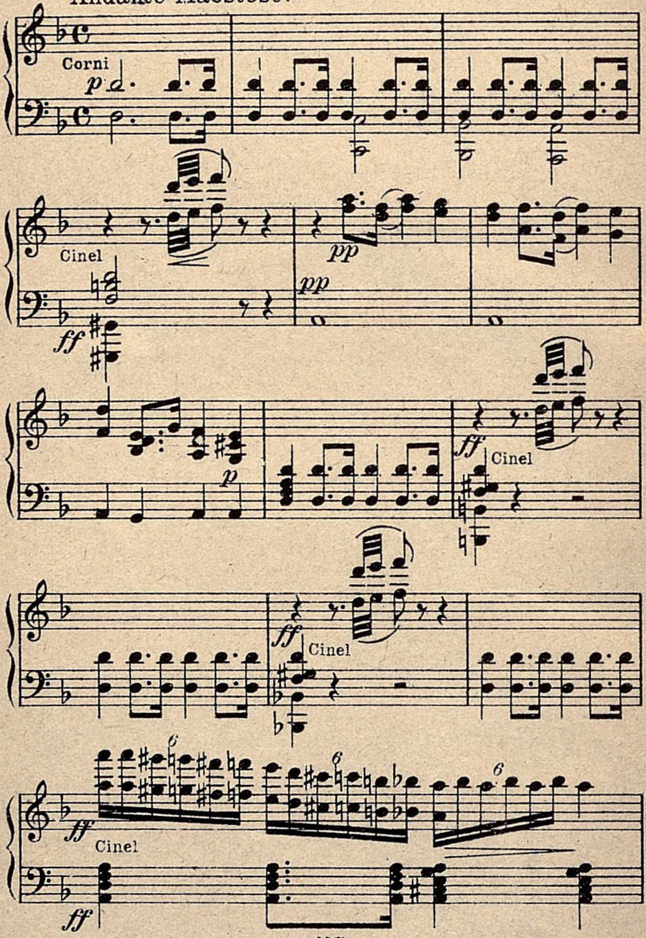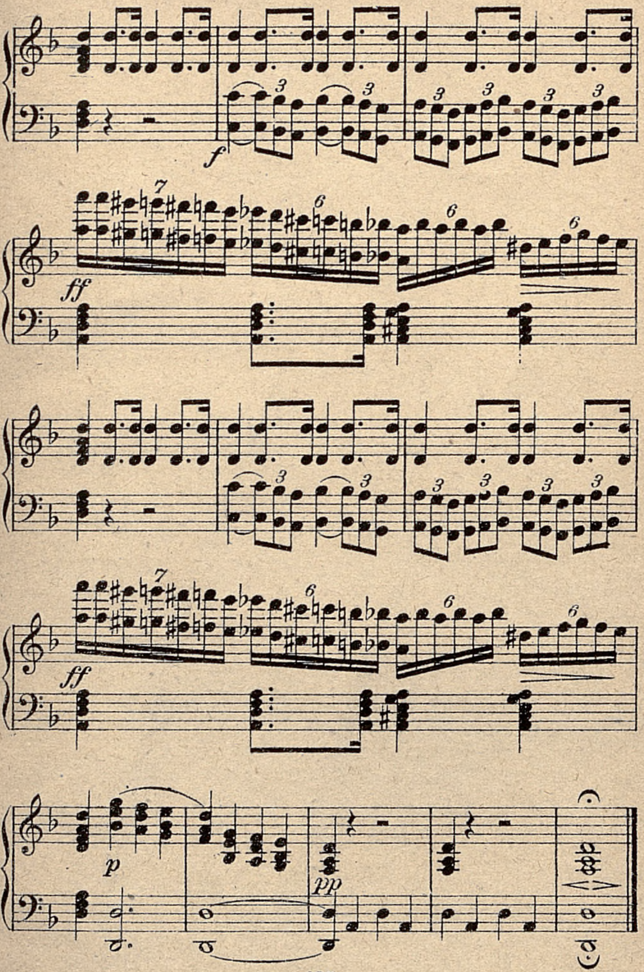




Grać tak długo, aż kurtyna spadnie.

Koniec obrazu 4go.

Nr. 19. Antrakt do Obrazu V^{go}.
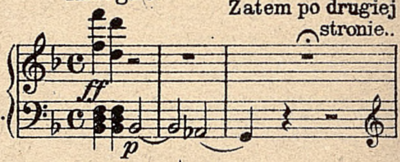
Andante Maestoso.
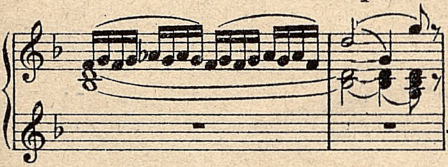



f
ff
ff
p
pp
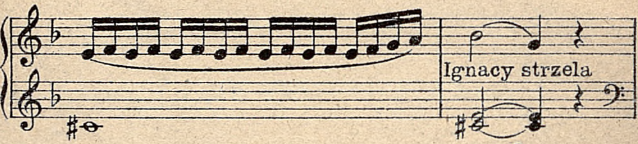
Nr. 20. Melodram.

Dalej naprzód....
Szukajmy z tej strony...

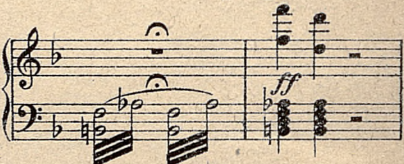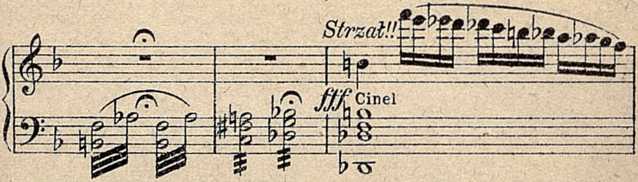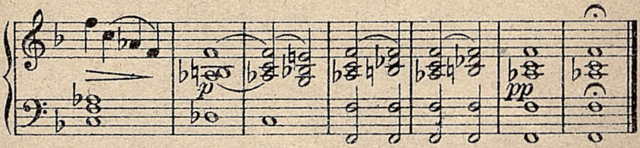




Proza:
Ach! coś się pokazuje, coś czarnego..
jak gdyby skrzynka.



Proza:
Gdybym przynajmniej
mógł się wydobyć z tej
przeklętej jaskini...
Szukajmy.....
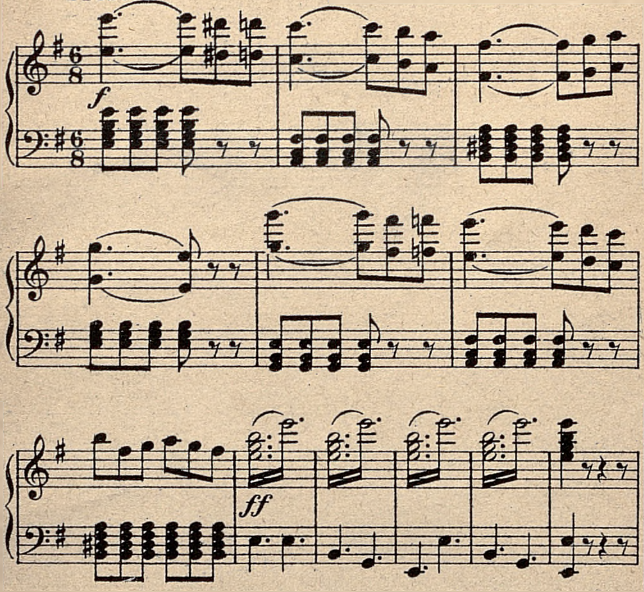






Nr. 21. Melodram.
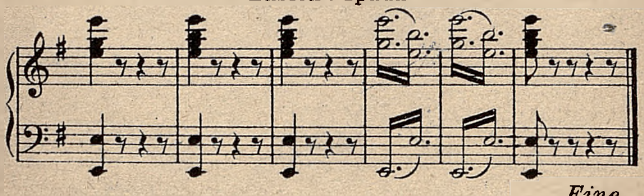
Koniec Obrazu V^{go}.

Albo Wasyl powiada... ha! ha! ha! ...
że Iwan to Eugeniusz! ... ha. ha.

Presto.
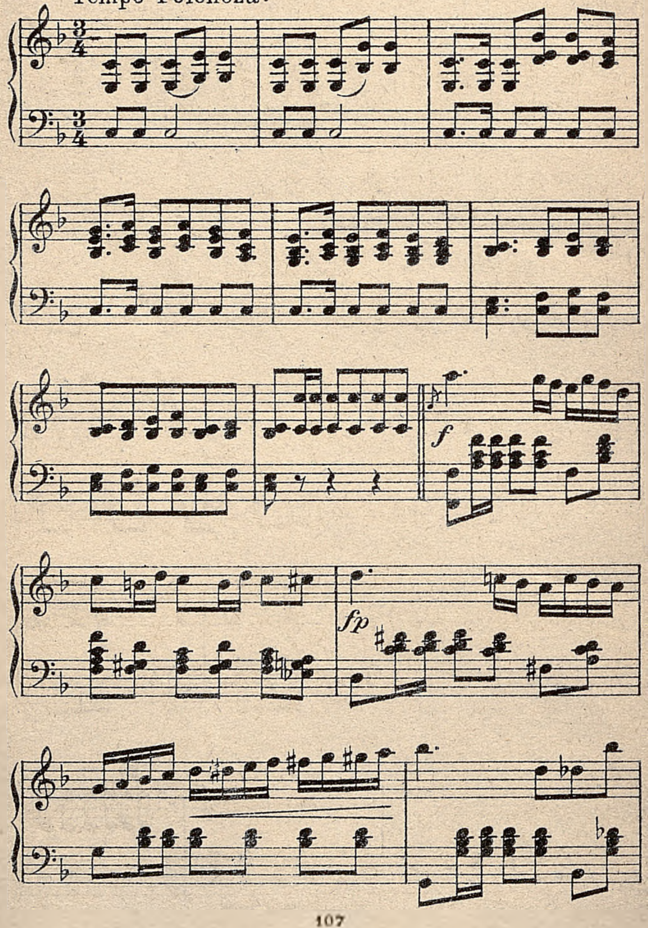


Zasłona spada.

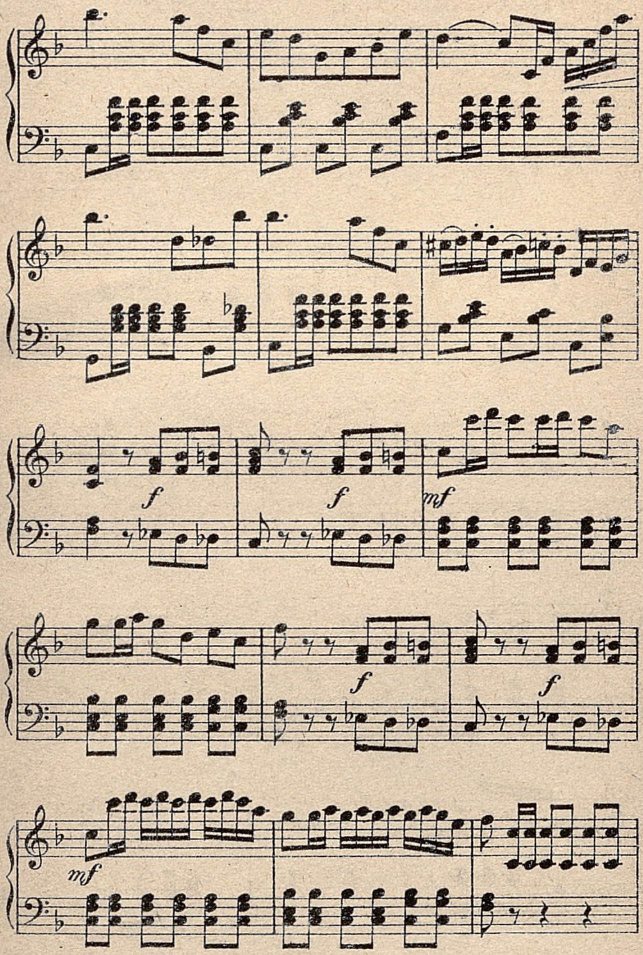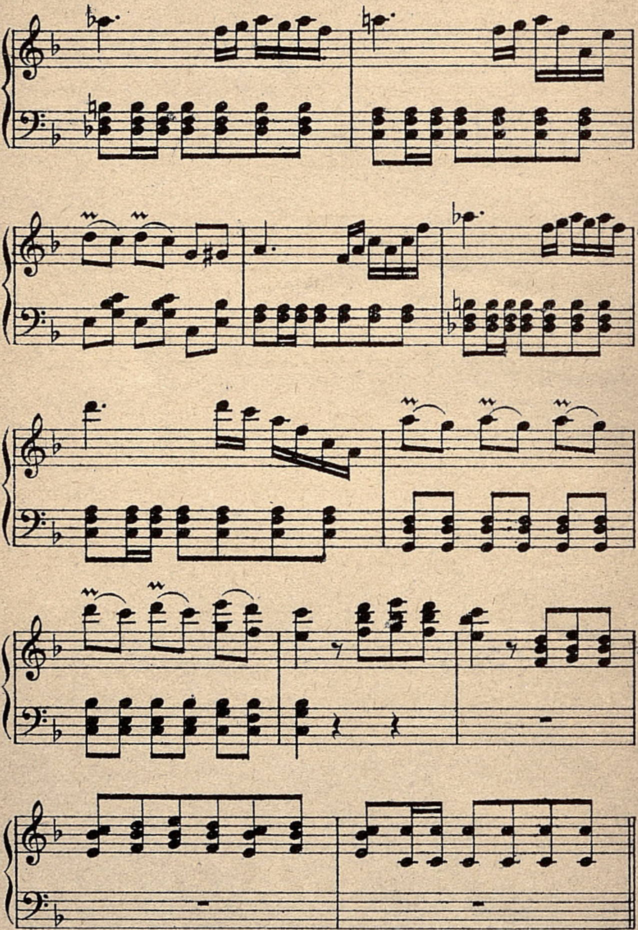


Fine.

Nr.22. Antrakt do Obrazu VIgo.

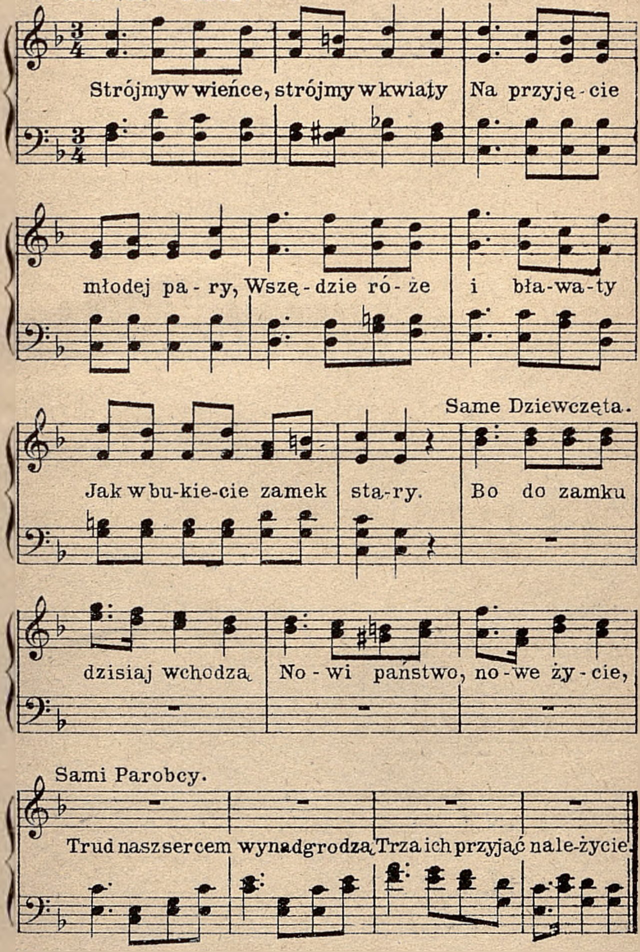
Tempo Poloneza.
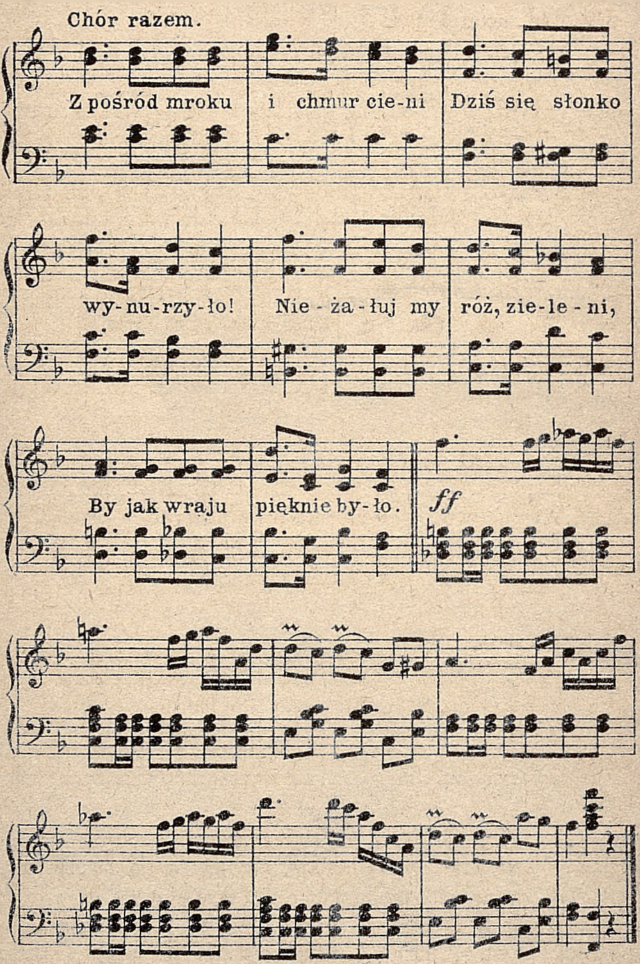



f
f
mf
f
f
mf



Nr. 23. Chór.
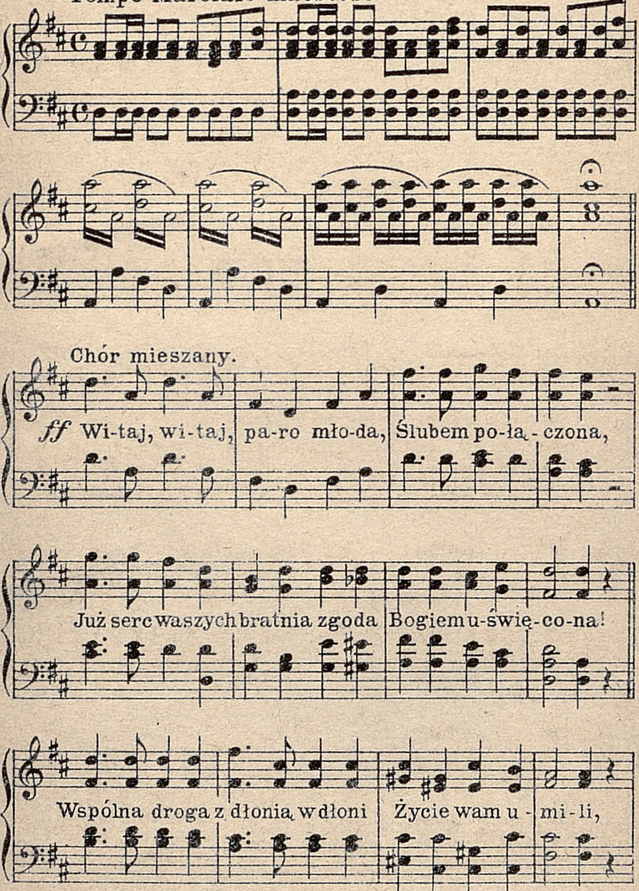

Strójmy w wieńce, strójmy w kwiaty Na przyję - cie
młodej pa - ry, Wszę - dzie ró - że i bła - wa - ty
Same Dziewczęta.
Jak w bu - kie - cie zamek sta - ry. Bo do zamku
dzisiaj wchodzą No - wi państwo, no - we ży - cie,
Sami Parobcy.
Trud nasz sercem wynadgrodzą, Trza ich przyjąć nale - życie.

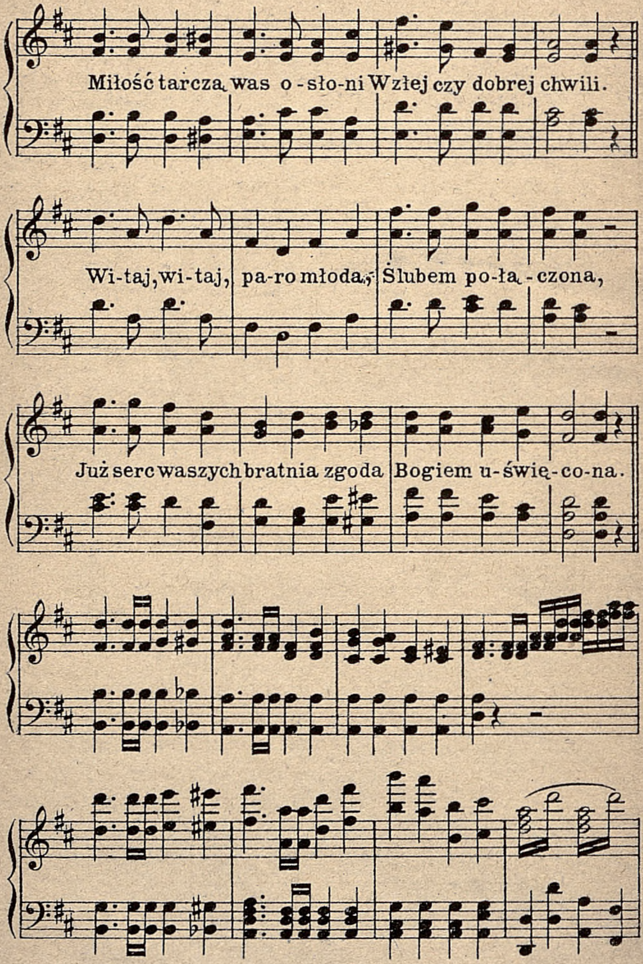

Chór razem.
Z pośród mroku i chmur cie-ni Dziś się słonko
wy-nu-rzy-ło! Nie-ża-łuj my róż, zie-le-ni,
By jak wraju pięknie by-ło.
ff
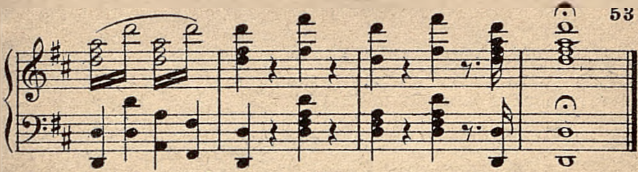
Wjazd młodej pary

Nr. 24. Chór mieszany.
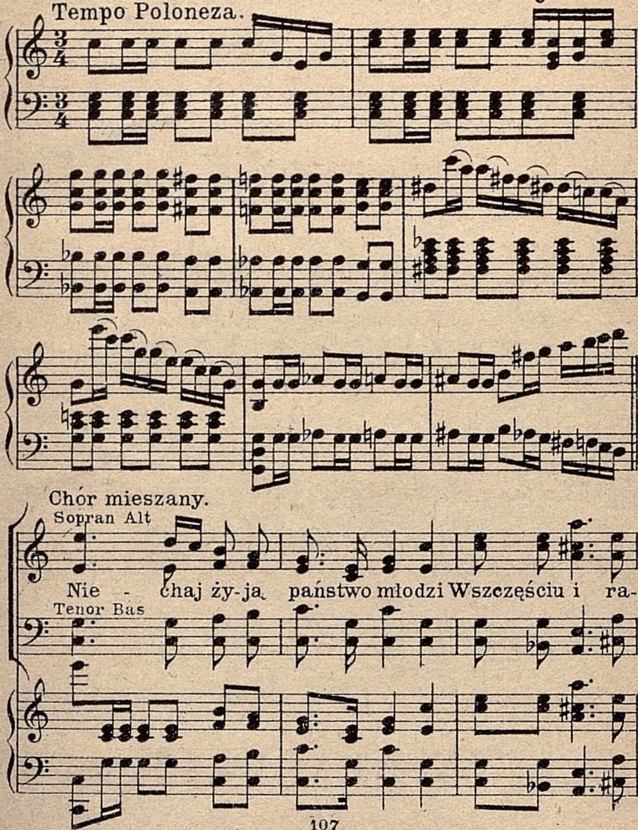
Tempo Marciale maestoso.
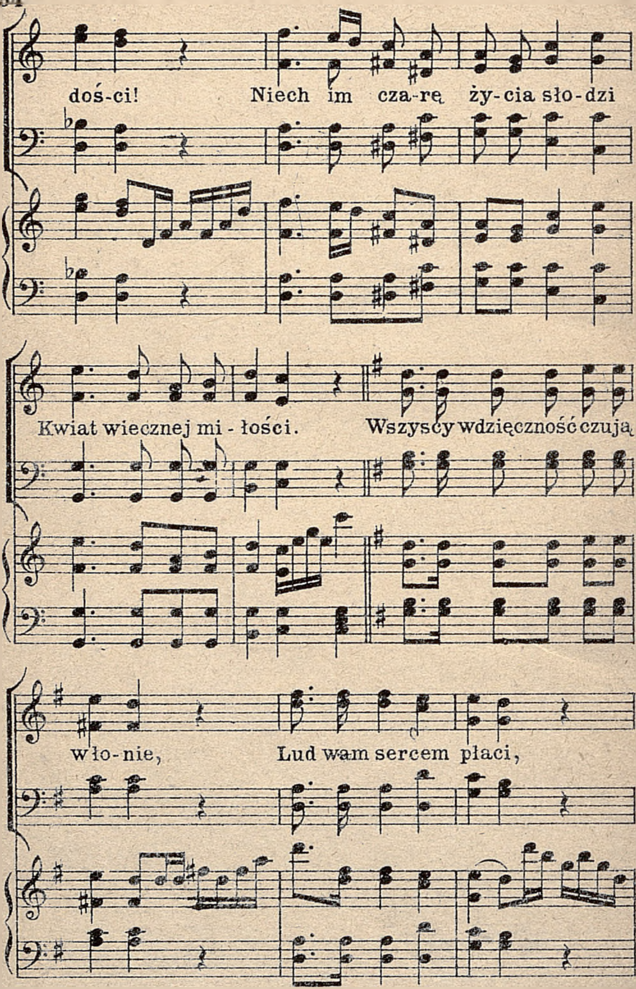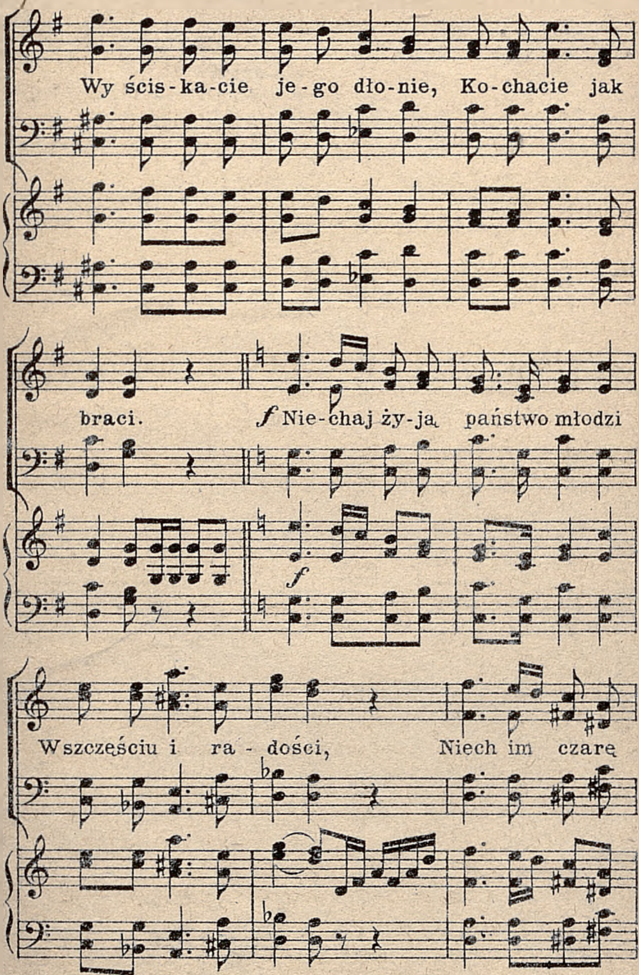



Miłość tarczą was o - sło-ni Wzłej czy dobrej chwili.
Wi-taj, wi-taj, pa-ro młoda, Ślubem po-łą - czona,
Już serc waszych bratnia zgoda Bogiem u-święco-na.
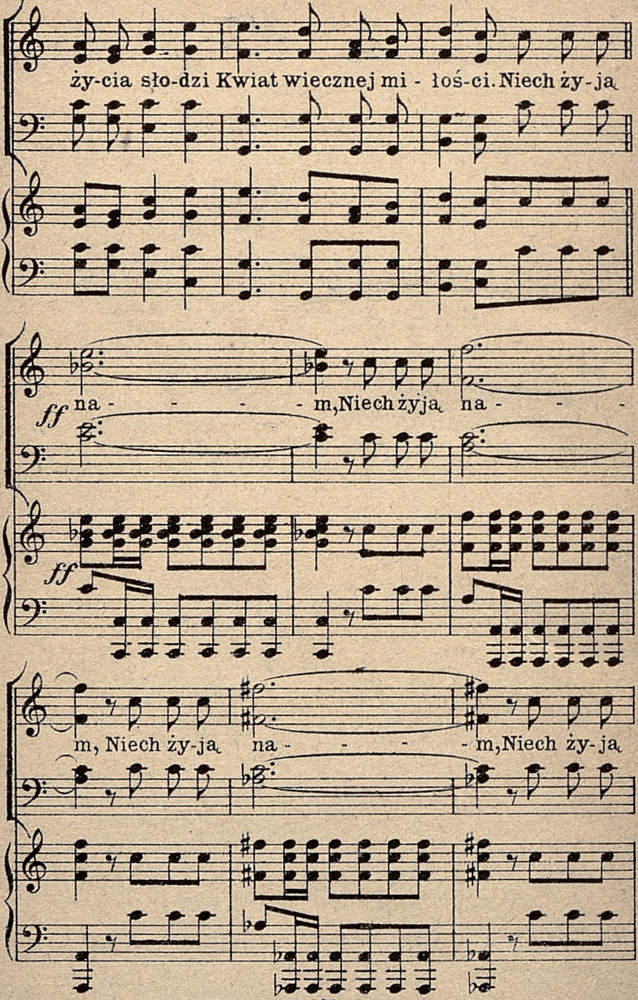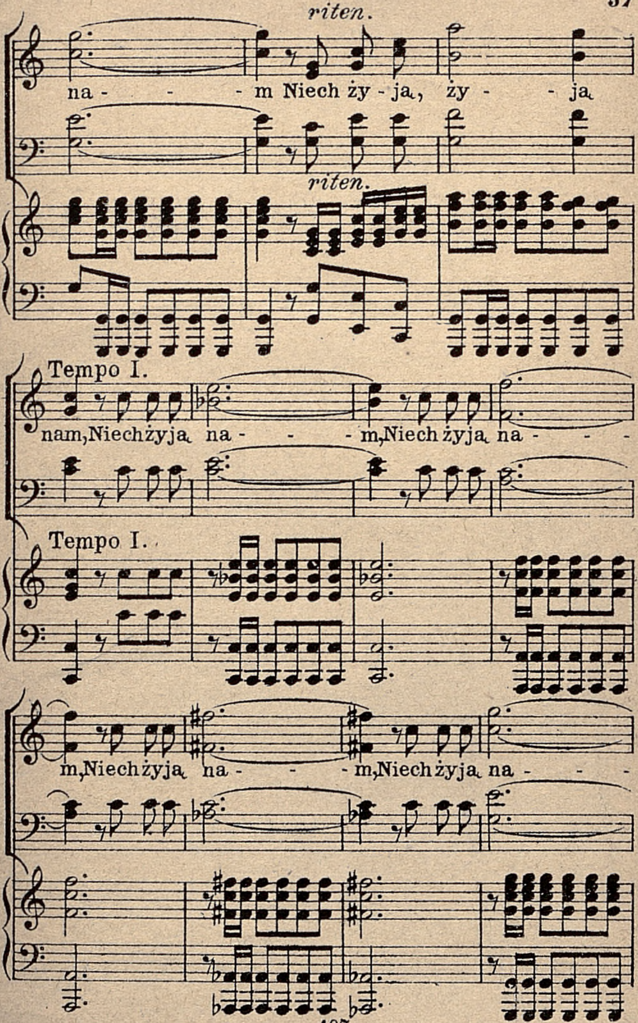


Nr. 25. Zakończenie. Polonez weselny.
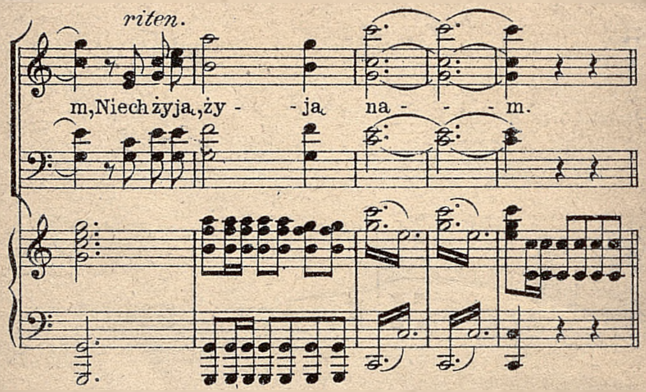



doś-ci! Niech im cza-rę ży-cia sło-dzi
Kwiat wiecznej mi - łości. Wszyscy wdzięczność czują
wło-nie, Lud wam sercem płaci,


Wy ścis-ka-cie je-go dło-nie, Ko-chacie jak
braci.
f Nie-chaj ży-ja państwo młodzi
f
Wszczęściu i ra - dości, Niech im czarę
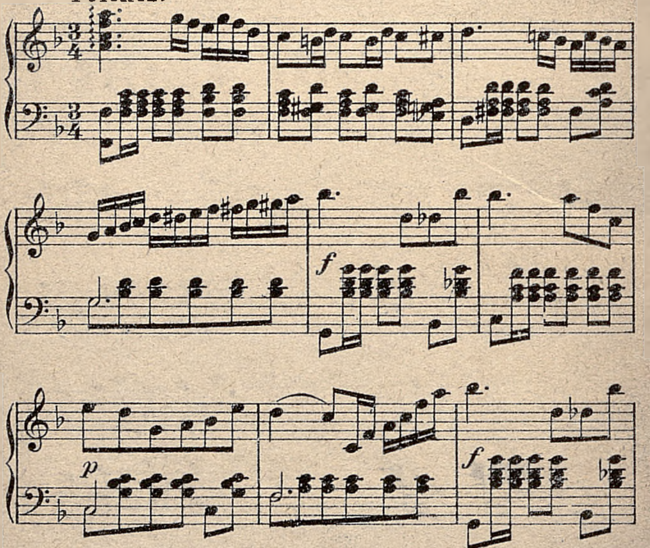

ży-cia sło-dzi Kwiat wiecznej mi - łoś-ci. Niech ży - ją
ff
na - - - - m, Niech żyją na - - -
ff
m, Niech ży-ją na - - - - m, Niech ży-ją
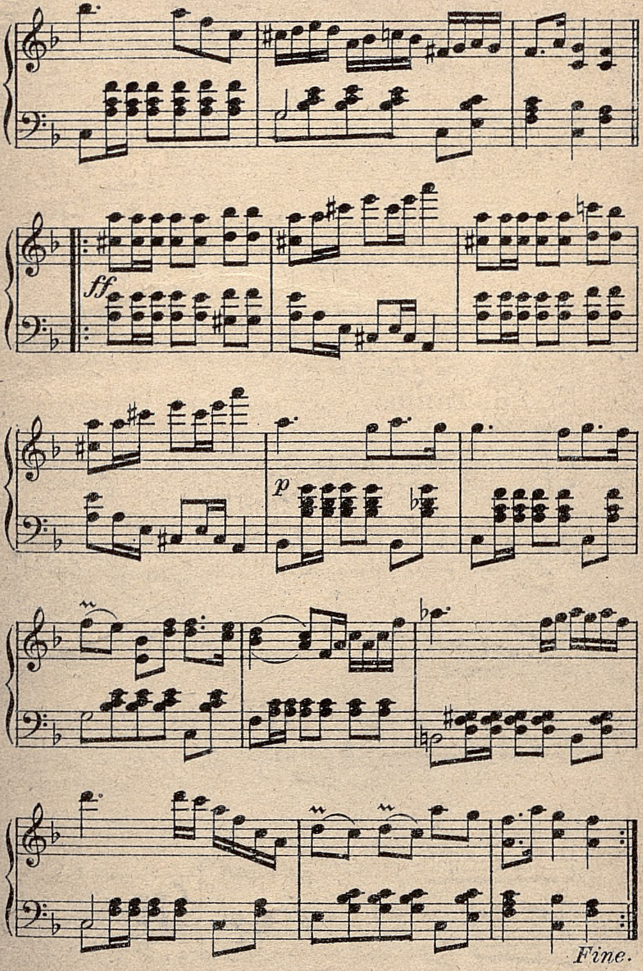

riten.
na - - - m Niech ży - ja, ży - - ja
riten.
Tempo I.
nam, Niech żyja na - - - m, Niech żyja na - - -
Tempo I.
m, Niech żyja na - - - m, Niech żyja na - - -
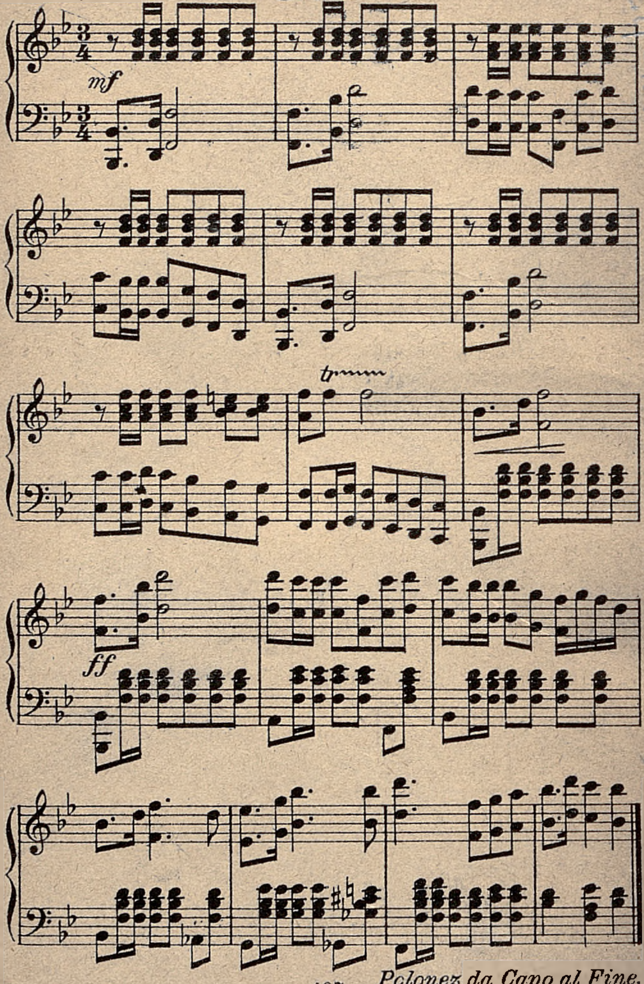


Nr. 26. Taniec.

Polonez.




ff
p
Fine.

Trio.



Polonez da Capo al Fine.

22. *Kamiński.* Szlachta czynszowa czyli Kłótnia o wiatr. Kom.-op. 1 a. 4 m., 2 k.
23. *Słowaczyński.* Chłopiec studukatowy, czyli Zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem. Fraszka 1 a. 8 m., 3 k.
24. *Ładnowski.* Zosia druhna. Monodram 1 a. 1 k.
25. *Sosnowski.* Dożynki. Obr. 1 a. z tańcami. 7 m., 4 k.
26. *Ładnowski.* Wesele na Prądniku. Obr. lud. 2 odsł. z tańcami. 8 m., 5 k.
27. *Wieniarski.* Ulicznik Warszawski. Krot. 1 a. z tańcami. 7 m., 3 k.
28. *Kucz.* Tajemnice Starego Miasta. Krot. 1 a. 4 m., 2 k.
29. *Ziołek.* Przybłęda. Obrazek z życia ludu ruskiego. 2 a. 5 m., 3 k.
30. *Kolodziej.* 10 000 mk. Kom. 2 a. z tańcami. 6 m., 2 k.
31. *Domnik.* Sieroce wiano czyli Wójt z Grotkowic. Sztuka lud. 2 odsł. 7 m., 3 k.
32. *Domnik.* Wesele Zosi. Sztuka lud. 1 a. 5 m., 4 k.
33. *Dębicki.* Cyrulik ze Zwierzyńca. Obr. lud. 1 a. 5 m., 2 k.
34. *Górski.* Posag w kominie. Kom. 2 a. 5 m., 2 k.
35. *Kolodziej.* Bogata wdowa. Obr. wiejski 2 a. 6 m., 2 k.
36. *Skorupka.* Wybory do rady miejskiej. Kom. 1 a. 3 m., 2 k.
37. *Tloczyński X.* Fatalna szafa. Krot. 1 a. 5 m., 3 k.
38. *Wieniarski.* Szwaczka Warszawska. Krot. 1 a. 3 m., 2 k.
39. *Ramult.* Pan Majsterek. Humoreska sceniczna. 1 a. z tańcami. 4 m., 2 k.

Po 1,50 mk.

51. *Szygethi.* Stary piechur i syn jego huzar. Kr. 3 a. z tańcami. 10 m., 3 k.
52. *Friedberg Dr.* Prawica i lewica. Sztuka lud. 3 a. z tańcami. 10 m., 5 k.
53. *Brodziński.* Wiesław czyli Wesele Krakowskie. Operetka narod. z tańc. 1 a. 5 m., 5 k.
54. *Clairville i Thiboust.* Czuła struna. Kom. 1 a. 2 m., 2 k.
55. *Bobowski.* Za nic żydowskie swaty. Kom. 1 a. z tańcami. 4 m., 4 k.
56. *Domnik.* Wigilia św. Andrzeja. Sztuka 1 a. z tańcami. 9 m., 8 k.
57. *Błotnicki.* Zagroda Sobkowa. Melodr. 5 a. 7 m., 5 k.

Po 3,— mk.

58. *Gutowski.* Surdut i siermięga. Obraz dram. 3 a. z tańcami. 11 m., 3 k.
59. *Karwatowa.* Na naszej glebie. Obr. lud. 2 a. z tańcami. 6 m., 4 k.
60. *Fredro J. Al.* Piosnka wujaszka. Kom. 1 a. 6 m., 2 k.
61. *Komornik*-poeta. Kom. 2 a. 4 m., 3 k.
62. *Scribe i Augustin.* Szpital waryatów. Opka. kom. 1 a. 4 m., 1 k.
63. *Colomb.* Biedny rybak. Kom.-op. 1 a. 4 m., 2 k.
64. *Kolodziej.* Na wymiarze. Obr. wiejski 3 a. 7 m., 3 k.
65. *Barrière i Lorin.* Fortepian Berty. Kom. 1 a. 2 m., 2 k.

Po 3,— mk.

70. *Korzeniowski.* Okrężne. Kom. 2 a. z tańcami. 7 m., 5 k.
71. *Karwatowa.* Kachna. Obr. lud. 3 a. 6 m., 3 k.
72. *Kolodziej.* Poczciwy młynarz cz. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Obr. lud. 3 a. 9 m., 3 k.

Po 2,25

98. *Los sieroty* czyli Niewinność zwycięża. Obrazek z rzeczywistego życia. 9 odsł. 4 m., 4 k.
99. *Domnik.* Stare Miasto (Na Chwaliszewie). Sztuka 4 a. z tańcami. 17 m., 8 k.
100. *Galasiewicz i Mellerowa.* Pan Zołzikiewicz (Szkice węglem Sienkiewicza). Obraz dram. 5 odsł. z tańcami. 15 m., 6 k.
101. *Kamiński.* Skalmierzanki czyli Koniki Zwierzynieckie. Kom.-op. 3 a. 9 m., 7 k.
102. *Galasiewicz.* Czartowska Ława. Dram. lud. 4 a. 15 m., 9 k.
104. *Karwatowa.* Na służbie. Sztuka lud. 5 a. z tańcami. 10 m., 8 k.

Po 6,— mk.

103. *Galasiewicz i Mellerowa.* Chata za wsią. Dram. lud. 5 a. 18 m., 11 k.
105. *Galasiewicz.* Maciek Samson. Krot. lud. 3 a. 20 m., 13 k. z portretem autora.
106. *Anczyc.* Robert i Bertrand czyli Dwaj złodzieje. Krot. 4 a. 17 m., 4 k.
107. *Domnik.* Król dziadów. Utwór scen. 6 obr. z tańcami. 29 m., 8 k.
108. *Krasiński.* Zamek na Czorsztynie czyli Bojomir i Wanda. Opera 2 a. 3 m., 2 k.

Po 9,— mk.

b. **Naród sobie! Tylko muzyka z podłożonym tekstem do sztuk, istniejących już drukiem.**

IV. *Korzeniowski.* Karpaccy Górale. (Tekst 1 a. 8 m., 3 k.) tylko muz. 60 fen.
V. *Gregorowicz.* Werbel domowy. (Pod pantoflem). (Tekst 1 a. 4 m., 2 k. 1,20 m.) 1,80 m.